Rok III. **Za marzec 1913.** **Zeszyt 3.**

MIESIĘCZNIK
KATECHETYCZNY i WYCHOWAWCZY

wychodzi

w pierwszej połowie każdego miesiąca.

Spis rzeczy.

Adres redakcyi i administracyi:

Lwów, ul. Sykstuska l. 64.

LWÓW — 1913.

Z drukarni Józefa Chęcińskiego, ul. Leona Sapiehy l. 77. Telefon 1183.

Rozum i wiara.

(Trzy konferencye, wygłoszone na nabożeństwie akademickiem w kościele św. Anny w Krakowie).

I.

I rzekł wąż do niewiasty: żadną miarą nie umrzecie śmiercią, bo wie Bóg, iż któregokolwiek dnia będziecie jeść z niego, otworzą się oczy wasze i będziecie jak bogowie, wiedząc dobre i złe. (Genes. III. 4, 5).

Ktokolwiek z Was, N. moi, znajdzie się w Neapolu i zaglądnie do słynnego Museo nazionale, w którem mieszczą się wykopaliska miast Pompei i Herculanum, zasypanych lawą Wezuwiusza, ten zdumieje się nad wysokim stopniem artyzmu i wykwintności, z jakiemi robotnicy greccy i rzymscy wykonywali przeróżne roboty złotnicze i ozdobnicze. Znaleźć tam można wykonane z przedziwną precyzyą mnogie kamee, pierścienie, broszki, kolczyki, naramienniki; kiedy zaś udało się odkopać z pod lawy rzymską aptekę, spostrzeżono, że już wówczas posługiwano się takiemi samemi flaszeczkami, słoikami i naczyńkami, jakie zna dzisiejsza farmacya, tak, że patrząc na to wszystko, mimowoli zawołać przychodzi: Nil novi sub sole — nic nie masz nowego pod słońcem. Kiedy znów z Neapolu przeniesiemy się do Rzymu i ujrzymy ogromne Kolosseum, przy którem spędzali noce nasi wieszczowie: Mickiewicz i Krasiński, lub się przyjrzymy rozległym termom Dyoklecyana, albo potężnym murom na Palatium lub na Kapitolu, a z tymi gmachami porównamy nasze teatry i budowle publiczne, to odrazu widzimy, ile nam jeszcze nie dostaje — nie ażeby

prześcignąć, ale aby dorównać tym ludom starożytnym na polu architektury. A nietylko pod tym względem, ale na wielu innych polach działalności ludzkiej byli oni naszymi mistrzami. W urządzeniach administracyjnych, w ustawodawstwie, nawet w prawidłach piękna, dającego się wyrazić dłutem, pędzlem lub słowem wiązanem, młode a barbarzyńskie ludy Europy czerpały hojną dłonią ze skarbów wysokiej kultury Greków i Rzymian, a we filozofii całe pokolenia karmiły się i karmić się będą tem, co z siebie zrodził geniusz greckich myślicieli.

Czy jednak we wszystkich kierunkach swej działalności ten rozum ludów starożytnych był tak samo bystry, jak w tych, o których się mówiło? Czy duchowa, religijna kultura tych ludów dotrzymywała kroku ich kulturze materyalnej?

Niestety, dość rzucić kilka rysów z ich pojęć religijnych, aby widzieć naocznie, jak wąż piekielny haniebnie zwiódł i okłamał rozum ludzki w pierwszych przedstawicielach rodu naszego, przyrzekając mu nieśmiertelność ciał, oraz Boską wiedzę!

Jakież to mieli oni pojęcie o Bogu, Stwórcy tego wszystkiego, co jest? Wystarczy zaglądnąć do mitologii Homera lub Eneidy Wergilego, aby się przekonać, że człowiek w pojęciu Najwyższej Istoty pomieścił swoje własne cechy i przymioty. Był wprawdzie czas, kiedy cały rodzaj ludzki jednego tylko uznawał najwyższego Boga; świadczy o tem źródłosłów: div, deva, z którego utworzono w niezmiernie wielu językach nazwę Bóstwa, jak: deus, theos, dios, dievas itd. Ale wnet nastała wielka schyzma ludów, ich różniczkowanie się na szczepy i mniejsze ludy, a w ślad za tem tracono resztki objawienia pierwotnego w raju, coraz więcej też monoteizm zaczął ustępować miejsca wyuzdanemu politeizmowi. Doszło wreszcie do tego, że najwstrętniejsze namiętności ludzkie, jak nieczystość, pijaństwo i złodziejstwo, ubóstwiono w osobach Wenery, Bachusa i Merkurego. Rzymianie, którym Paweł św. oddaje to świadectwo, iż byli pobożniejsi od innych, natworzyli taką ilość

bóstw, że nawet do czysto ludzkich czynności potrzebowali pomocy osobnych bogów i bogiń.

Gdybyż to czczono przynajmniej jakieś wyższe od człowieka, choćby tylko wymarzone istoty! Lecz wiemy, że już Aleksander W. nakazał, aby mu stawiano ołtarze i cześć Boską oddawano. W Rzymie każdy cesarz, gdy tylko został Augustusem czyli samowładnym panem, bywał zaliczany między bóstwa i odbierał cześć publicznie jako bóg widzialny. Taki marny człowiek i lichy monarcha, jak Kaligula, przecież nie zapomniał nakazać, aby mu stawiano ołtarze i świątynie i aby mu jako panu i bogu składano w ofierze same pawie i bażanty.

A jakie pojęcie Bóstwa było u tych ludów, taki też i kult oddawano. W całym świecie pogańskim składano w ofierze Bóstwu ofiary krwawe nietylko ze zwierząt, ale i z ludzi. Tu i ówdzie używano do tego celu niewolników; ale tam, gdzie kwitnął szczególniej kult słońca pod nazwą Molocha lub Bela, tam własne dzieci zarzynano jak jagnięta lub też rzucano je w piece ogniste, każąc grać muzyce, aby matki nie słyszały jęku swych niemowląt. Wszak jeszcze za czasów cesarza Hadryana (II. w. po Chr.) musiano wydać surowy edykt przeciw krwawym ofiarom z ludzi, które składano na wyspie Salaminie. Mnogie bóstwa mniejsze prawie na całej kuli ziemskiej czczono zapomocą wyuzdanej rozpusty, tak, że uczciwsi rodzice w Rzymie zakazywali swym dzieciom uczestniczyć w rzekomo religijnych uroczystościach tego rodzaju, jak Saturnalia, Bachanalia, Venus Collinensis, Lupercalia i wiele innych.

Nigdzie również nie spotykamy się w starożytności z tem pojęciem, jakoby rodzaj ludzki był bezpośredniem dziełem najwyższego Bóstwa. Raz tylko wspomina Hezyod, że Jowisz uczynił ród ludzki, ale zaraz dodaje, że go wytracił, a ten, który jest, pochodzi od Japetów. Podług mitologii greckiej Deukalion i Pyrrha, półbogowie-półludzie, uciekając przed gniewem bogów, rzucali po za siebie kamienie, i z nich to, z kamieni, miał powstać ród ludzki. Filozof Epikur, ten Haeckel czasów starożytnych, nauczał, że na rozmaitych punktach ziemi tworzyły się wskutek

zderzania się atomów poszczególne narządy ciała ludzkiego; te narządy zbliżały się do siebie wskutek siły przyciągającej i tak powstał człowiek. Rzecz zaś jasna, że za takiem pojmowaniem początku człowieka musiała zniknąć wiara w jakiś bliższy, serdeczniejszy związek Boga z ludźmi. Świat starożytny nie miał wiary w istnienie dobrotliwej Opatrzności, a w jej miejsce stawiał nieubłagane, zmienne i kapryśne przeznaczenie, któremu nawet bogowie musieli ulegać.

Jeżeli znów nie jesteśmy dziećmi jednego Ojca niebieskiego, to i między sobą nie jesteśmy braćmi. I rzeczywiście świat pogański nie miał dobrego pojęcia o miłości bliźniego; miłość ta była nader ciasna, bo bliźnim był krewniak, przyjaciel i co najwyżej — współobywatel tego samego miasta. Trzeba było dopiero strasznej nawały perskiej, iżby Grecy różnych miast i miasteczek poczuli się jednym narodem, bracią między sobą.

Na tem tle zrodzić się musiała ta hańba wieków starożytnych: niewolnictwo. Los niewolników był straszny, nie miano ich za ludzi; dość przypomnieć, że kiedy zginął z ręki skrytobójczej Pedanius Secundus, rozkazał cesarz Neron zamordować 400 jego niewolników za to, że nie przeszkodzili jego śmierci; przypomnę, że niejaki Antronius bezkarnie wystawił przed swym domem szubienicę, a zawiesiwszy na niej swego niewolnika, zdzierał powoli z niego skórę, jak z barana, tylko ku uciesze gawiedzi ulicznej. Nawet najlepszych niewolników kijami okładano raz do roku, tylko dlatego, aby nie zapominali, że są niewolnikami.

Wobec ogólnie przyjętej zasady, że wszelkie prawo tylko ze siły pochodzi, nie można się dziwić, że w rodzinie ojciec miał prawie nieograniczoną władzę życia i śmierci nad swemi dziećmi, a pierwszą niewolnicą była własna jego żona; bez jego pozwolenia i wiedzy prawie kroku zrobić jej nie było wolno. Zrazu tak u Greków, jak u Rzymian czyste były małżeństwa, a postaci Cloelii, Wirginii świadczą, jak wysoko stawiano w Rzymie cześć ognisk domowych. Lecz już pod koniec rzeczypospolitej, a jeszcze więcej za czasów cesarstwa rozwielmożniła się nieszczęsna

praktyka rozwodów do tego stopnia, że mąż mógł napędzić żonę dla najbłahszego powodu, za co znów damy rzymskie zaczęły liczyć swe lata nie podług lat konsulów, tylko podług liczby swych kochanków. Rozpusta zapanowała taka, że na widok raptownie zmniejszającej się liczby ludności w imperium rzymskiem, musiano wydać słynne prawo: lex Pappia Poppaea, nakazujące pod surowemi karami mężczyznom do lat 60-ciu, kobietom do lat 40-tu, aby wchodzili w związki małżeńskie.

Na tem znów bagnie rozpusty wyrósł ów ohydny, nieludzki i okrutny zwyczaj porzucania dzieci. Z chwilą, kiedy ojciec rodziny nie uznał dziecięcia za swoje, wyrzucano je albo na ulicę, albo zanoszono w odludne miejsca, gdzie to maleństwo z głodu i pragnienia lub od dzikich zwierząt śmierć ponieść musiało. Z porzuconych na ulicę dzieci zapełniały się, gdy wyrosły, domy publiczne, albo tworzono z nich, sztucznie je kalecząc, falangi żebraków, którzy zbierali grosz dla swych patronów.

Tym zaś nędzom moralnym, w które popadł ród ludzki, nie mogła zaradzić filozofia pogańska, raz dlatego, że nawet najznakomitsi filozofowie starożytni hołdowałi sami rozmaitym występkom; powtóre, kłócili się i spierali bezustannie z sobą tak, że człowiek przeciętny nie mógł odgadnąć, przy którym z nich jest prawda; a po trzecie drogo kazali sobie płacić za swą mądrość, bo dość powiedzieć, że sofista Gorgiasz żądał od swych uczniów, na obecną monetę, około 10.000 koron za jeden kurs swej filozofii. Wszyscy oni zresztą podzielali to zapatrywanie, głośno wypowiedziane przez Varrona, że chociaż lud ma wiarę bałamutną, lepiej go jednak zostawić przy tej wierze, aniżeli dać mu nową. Wobec tego nie dziwmy się, że tak w duszach mędrców, jak i szarego motłochu rozsiadło się zwątpienie, tak, że kiedy Chrystus, stojąc przed Piłatem, wspomniał wyraz: prawda — ten poganin prawie mimowolnie zadał Zbawcy świata to pytanie: Quid est veritas? Co to jest prawda? Wśród takich warunków dewizą życia stać się musiały słowa poety: carpe diem — żyj i używaj świata, pókić służą lata.

Lecz po co te wszystkie szczegóły, tak odległe od nas? Jaki jest cel ich właściwy? Ten, aby okazać, że ci, którzy narzekają na religię objawioną przez Chrystusa Pana, jakoby nakładała jarzmo na rozum człowieka, poprostu nie wiedzą, ani nie znają ogromu nędzy moralnej, w jakiej się znalazł ród ludzki, opierając się wyłącznie na światełku swego rozumu — i dlatego też nie umięją ocenić, co zawdzięczają tej właśnie religii objawionej. Bóg przecież nie spieszył się ze swem objawieniem, ale podług rachuby Wulgaty czekał lat przeszło 4000, aby rozum ludzki zdał egzamin, aby nareszcie okazał, czy naprawdę posiada wiedzę Boską, jak mu to szatan w raju przyrzekał. I dopiero kiedy się okazało, że za radą swego rozumu człowiek wybijał pokłony przed pierwszym lepszym klocem, niezgrabnie ociosanym, kiedy ku czci słońca i gwiazd zabijał swych bliźnich lub rodzone dziatki, kiedy ten rozum własne namiętności człowieka aż do rzędu bóstw podnosił, kiedy zaprzepaścił najprymitywniejsze zasady etyki przyrodzonej, kiedy ród ludzki znalazł się w błocie, w którem ani długo żyć, ani z niego o własnej sile wydobyć się nie umiał, wówczas to, w tej pełni czasów, kiedy znalazła się Istota, godna być Matką Syna Bożego, zjawiło się Światło zbawcze z Nazaret, które powiodło ludzkość na nowe tory.

Najmilsi! I nasi ojcowie kłaniali się niegdyś bałwanom, jak i inne ludy pogańskie. Jeżeli zaś my, ich potomkowie, mamy piękne i prawdziwe pojęcie Boga, jeżeli wiemy, jaki jest cel naszego życia i jeżeli posiadamy środki do tego celu wiodące, to nie nasza to zasługa, ale dar wiary. Mając to na pamięci, powtarzajmy słowem i uczynkami to wyznanie Pawła św.: Non erubesco Evangelium — nie wstydzę się Ewangelii! — Amen.

II.

Wstąpię na wysokość obłoków, będę podobny Najwyższemu. Iz. XIV., 13.

Te to słowa, które niegdyś miał wyrzec książę zbuntowanych przeciw Bogu aniołów, zdawał się powtarzać duch

zbiorowy ludów cywilizowanych w wieku ubiegłym. I rzeczywiście, gdziekolwiek rzucimy okiem na dorobek tego ducha w dziedzinie zdobyczy materyalnych czy naukowych, widzimy urzeczywistnione i urzeczywistniające się jeszcze wielkie hasło: postęp. Przy pomocy potężnych refraktorów, mikroskopów i rozmaitych innych przyrządów i środków naukowych zbadano zjawiska przyrody widzialnej tak, jak nigdy przedtem; znakomicie ulepszono środki komunikacyjne; iskrą elektryczną opasano całą ziemię; nauczono się przy pomocy telefonu rozmawiać na odległość setek mil; dziś nawet powietrze nagina się do usług nadzwyczajnych człowiekowi; stworzono komfort, o którym się nie śniło naszym pradziadom i dziadom w wiekach ubiegłych.

I znów zadajmy sobie to pytanie, czy wszystkie kierunki działalności ludzkiego rozumu mogą się poszczycić takim samym postępem? Czy ludzie pod wpływem tej wysoko posuniętej cywilizacyi stali się naprawdę lepsi, doskonalsi moralnie, a przedewszystkiem czy szczęśliwsi?

Nie będę się zapuszczał w dziedzinę polityki, bo ta zawsze i wszędzie kierowała się i kieruje zasadami ducha pogańskiego. Nawet nad tym głębokim rozdziałem ludzi na tych, którzy już się znajdują przy misie dobrobytu i na tych, którzy gwałtownie do niej się dobijają, nie będę się rozwodził. Ale nie mogę nie zatrzymać się przy tej dziedzinie pracy umysłowej, która zawsze uchodziła za najszczytniejszą ze wszystkich, przy tej królowej wszystkich nauk, przy filozofii.

Szumnie ona rozpoczęła lot swój w zaraniu wieku XIX., bo od zburzenia tego, co niegdyś było przekonaniem wspólnem całej ludzkości. Zawsze bowiem utrzymywano, że w poznawaniu naszem my stosować się musimy do rzeczy poznawanych i że wtenczas rzeczy poznajemy dobrze i prawdziwie, kiedy nasze zmysły lub myśl nasza dobrze się umiała do nich zastosować. Innego zdania był Kant, filozof królewiecki, ten największy sceptyk czasów ubiegłych. Przesunął on punkt ciężkości w poznawaniu naszem na podmiot poznający i odtąd nie myśl ma się stosować do przedmiotu poznawanego, ale rzeczy do myśli, do da-

nych nam przed wszelkiem doświadczeniem gotowych formuł naszego myślenia. Postawiwszy twierdzenie, że prawo przyczynowości, które powiada, że niemasz skutku bez odpowiedniej mu przyczyny, tylko w obrębie naszego myślenia posiada swe znaczenie, łatwo mógł wykazać, że rozum człowieka nie potrafi udowodnić istnienia Boga osobowego, ani też duchowości i nieśmiertelności duszy ludzkiej; jeżeli zaś człowiek posługuje się temi pojęciami, to może to czynić jedynie w tem znaczeniu, ażeby niejako zaokrąglił swe myślenie, dla celów czysto praktycznych uprawy cnoty i ustawicznego doskonalenia się w niej.

Zachodziła obawa, że rozum, znalazłszy się raz na tej równi pochyłej, na której Kant go postawił, niedługo się tam zatrzyma, lecz potoczy się niżej. Spełniła się ta obawa, bo już uczeń Kanta, Fichte starszy zawyrokował, że to, co przed sobą widzimy, cały ten widzialny świat nie jest czemś rzeczywistem, tylko czemś przez jaźń postawionem, przez nią pomyślanem. Dalej jeszcze poszedł Hegel, podług którego nie rzeczy konkretne, jednostkowe są czemś rzeczywistem, lecz ich ogół, ich idea wszystkie je obejmująca, że więc na dnie tych rzeczy indywidualnych spoczywa nieosobowy rozum, z którego one wszystkie, jak promienie z gwiazdy, pochodzą. Ten rozum, przeciwstawiając się rzeczom, tem samem w siebie wchodzi, i nareszcie w rozumie człowieka dochodzi do pełnej świadomości siebie, staje się wiedzącem o sobie Bóstwem. Tak to potrafił Hegel przekręcić naukę katechizmu, podług której Bóg stworzył rozum człowieka, bo podług niego rzecz ma się odwrotnie: rozum człowieka stwarza Boga.

A na nasze nieszczęście śladem tych panteistów niemieckich poszli i nasi myśliciele, jak Wroński, Trentowski, Cieszkowski i Kremer — ten przynajmniej w pierwszych latach swej profesury w Krakowie. Podług Wrońskiego ma nadejść piąta epoka ludzkości, epokę Parakleta czyli Ducha św. Pocieszyciela, który ponownie się wyleje na ród ludzki, ale tym razem obficiej, aniżeli w dzień Zielonych Świątek. Pod wpływem Jego światła ród ludzki całkowicie zgłębi Absolut czyli Boga, a ówczesna filozofia absolutna będzie

zarazem religią absolutną, każdy człowiek będzie kapłanem, ród zaś ludzki nie będzie potrzebował wskazówek z nieba, ani rządów Opatrzności, bo sam sobie będzie naznaczał cele swego rozwoju.

A już wprost wstrętna jest doktryna Trentowskiego, że Bóg dopiero razem z materyą stanowi właściwe Bóstwo, bo bez materyi Bóg nie byłby ani nieskończonym, ani wszechobecnym, ani nawet wiecznym. Cały też ród ludzki, a nie jedna osobistość: Chrystus Jezus, stanowi Syna Bożego, przyczem podnieść muszę, że Trentowski rozumie to synostwo Boże w znaczeniu dosłownem, a nie przenośnem. Nie potrzeba zaś dodawać, że za najdoskonalszego z synów Bożych miał Trentowski właśnie siebie samego.

Podług Cieszkowskiego w mającym nadejść trzecim peryodzie ludzkości, w peryodzie Ducha św., zniknie z ziemi religia katolicka, bo taka, jaką ona jest, jest dziełem Ojców Kościoła, którzy w wieloraki sposób przekręcać mieli teksty Pisma św., oraz dziełem duchowieństwa katolickiego. Z trzech Osób Trójcy św. raczył Cieszkowski pozostawić tylko jedną: Ducha św., ale i dla Ducha św. jest, jego zdaniem potrzebna materya jako Boże Jego ciało.

Wysoko tedy, jak widzimy, wzbił się rozum człowieka: zdało się mu, że już ogarnął Nieogarnionego, że w swych formułkach dyalektycznych zamknął Nieskończonego. Wnet odwróciła się karta. Skoro bez materyi Bóg nie byłby niczem, to tylko materya jest prawdziwym bytem, prawdziwem Bóstwem. Tak sobie powiedział Feuerbach, uczeń Hegla. I rozpoczęło się też panowanie materyalizmu. Między rupiecie rzucono wiarę w Boga osobowego, wyśmiano duchowość i nieśmiertelność duszy ludzkiej; myśl ludzka ma być tylko wydzieliną substancyi mózgowej, tak jak ślina jest wydzieliną gruczołu ślinowego; nareszcie cały człowiek ma być tylko sumą swych rodziców, mamki i pokarmów.

Rychło atoli się opatrzono, że taka mizerna teorya, od pogańskich mędrców żywcem zapożyczona, może być dobrą tylko dla ciemnych tłumów, dla nieuków, dla analfabetów naukowych. Zmieniono tedy etykietę, nie bardzo zmieniając rzecz samą — stworzono pozytywizm. Ojciec

tego systemu, August Comte, nauczał, że rodzaj ludzki przechodzi przez 3 stadya, 3 epoki: przez epokę teologiczną, w której wierzono swobodnie w istnienie najrozmaitszych bóstw męskich i żeńskich; przez epokę metafizyczną, w której tworzono pojęcia rozmaitych sił, aby za ich pomocą wyjaśnić zjawiska świata. Nareszcie w epoce trzeciej, fizycznej, w której obecnie ród ludzki się znajduje, tylko to, co jest dane, co pod zmysły nasze podpada, czyli co da się zważyć i zmierzyć, ma stanowić przedmiot badania naukowego, wszystkie zaś inne rzeczy należą do krainy marzeń filozoficznych: nauka pozytywna takimi przedmiotami, jak Bóg, dusza duchowa itd. zgoła się nie zajmuje. Pozostawało jeszcze zedrzeć z człowieka wszelki nimb wyższości, aureolę króla widzialnych stworzeń. Szybko tego celu dopięła teorya ewolucyi przyrodniczej, która za jednym zamachem i człowieka uczyniła tylko wyżej rozwiniętem zwierzęciem i wykluczyła Stwórcę ze sprawy powstania pierwszego życia na ziemi. I oto rzecz naprawdę dziwna: ci sami ludzie, którzyby się mocno oburzyli, gdyby ktoś chciał w nich wmówić, że przed wiekami, wobec wysokiej ówczesnej temperatury i innych warunków szczęśliwszych, guziczki niciane, lub jakiekolwiek inne, same się tworzyły z atomów — ci sami ludzie nie widzą w tem nic dziwnego, owszem głośno to i z katedr i w swych pismach wypowiadają, że ongi przed bardzo, bardzo dawnymi wiekami jestestwa żywe takie, jak np. różne pełzaki, a więc twory stokroć wyższe od guziczków, bo żywe, powstały dzięki szczęśliwemu zderzeniu się atomów chemicznych.

Wszelako i pozytywizm nie zbyt długi posiadał żywot, bo duch ludzki nie da się zamknąć w tych ciasnych ramach, jak sobie tego życzył ojciec i zwolennicy tego systemu. Niewyczerpana w pomysłach myśl usłużna już stworzyła nową nazwę, nowy system. Dziś pragmatyzm, humanizm, biologizm jest owym bożyszczem, przed którym rozum filozoficzny pali swe kadzidło. Niestety — pod zmienioną szatą zewnętrzną ukazała się stara myśl sofisty Protagorasa, że tylko człowiek jest miarą wszech rzeczy i tych, które są, o ile je człowiek uzna za istniejące i tych, któ-

rych niemasz, o ile je człowiek uzna za nieistniejące. Dla pragmatystów tylko własna korzyść człowieka jest najwyższym probierzem prawdy.

Atoli materyalizm, pozytywizm czy pragmatyzm usiłują zaprzątnąć myśl człowieka tylko tem, co doczesne, co pod zmysły podpada. Cóż jednak począć z pragnieniami wyższemi, szlachetniejszemi, jak zaspokoić tęsknotę duszy ludzkiej za tem, co nieskończone, co wieczne? Na to dała filozofia wieku ubiegłego odpowiedź, która aż zadziwia swoją skromnością: Ignoramus et ignorabimus. Nie znamy tych rzeczy — i nigdy ich znać nie będziemy. A co gorsza, rozum filozoficzny, okłamując czy też mamiąc sam siebie, tę swoją niewiadomość podniósł aż do godności systemu filozoficznego. Wszak dzisiaj niezliczone rzesze ze sfer wykształconych hołdują agnoscytycyzmowi!

I czyż takie filozofie mogą zbawić ród ludzki? Czy mogą one wlać balsam pociechy w duszę, gdy ją ból srogi targa? Czy mogą one zrodzić wielkie idee, być dźwignią wiekopomnych czynów? O — patrzymy na skutki ich roboty. Zatruto niewiarą ducha tłumów, zakazano im spoglądać w niebo, pogaszono tam dla nich wszystkie światła, jak się wyraził francuski minister Viviani. To też na łonie tej wysokiej naszej cywilizacyi, coraz liczniejsze jednostki usiłują wytrychem, dynamitem lub kulą rewolwerową do cisnąć się do furty tego raju, który im na ziemi obiecano. W sztuce kult nagości, jak za najlepszych czasów pogaństwa; w literaturze pięknej tylko erotyka cieszy się coraz większym pokupem, w ślad za czem młodzieniaszki, którzy ledwo próg życia przekroczyli, już czują jego przesyt i niezdziaławszy nic dobrego na ziemi, kryją się pospiesznie w jej łono przed trudami i walką życiową; nawet wśród nieletnich dzieciaków szerzy się w sposób zastraszający mania samobójstw, a coraz więcej budować trzeba i utrzymywać domów karnych, aby w nich pomieścić adeptów etyki autonomicznej. Na polu ekonomicznem gnębienie słabszych, w polityce zasada siły przed prawem i bezwzględne postępowanie w myśl strasznego hasła Hartmannowskiego: Ausrotten — wytępić! A uciskane ludy coraz częściej pow-

tarzają owo bolesne: Vae victis — biada zwyciężonym! Oto dorobek kulturalny tego rozumu, który w początkach wieku ubiegłego wzbijał się aż pod stropy niebios, chciał zasiąść na tronie Przedwiecznego, a ku końcu orzekł, że człowiek jest tylko najdoskonalszem zwierzęciem. Z jednej strony kult siły brutalnej w nadludziach Nietschego — z drugiej ckliwy, bezsilny i bezpłodny pesymizm we filozofii Schopenhauera i Hartmanna, oto dwie ostateczności, do których się wzbiły wysiłki ludzkiej myśli. Miażdżenie słabszych, aby na nich, jak na kompuście, uróść mogli ludzie wielcy, z drugiej beznadziejna rozpacz, umiejąca jedynie w negacyi życia znaleźć środek na zło, które dręczy pierś ludzką, oto ideały tego rozumu, który w swym pochodzie zatracił ślad drogi ku niebu wiodącej.

Zatem nietylko w starożytności, kiedy wogóle brakło obfitszego światła Bożego, ale i w naszych czasach rozum, jeżeli tylko dumnie odwróci się od tego światła, jeżeli wzgardzi promieniami religii od Boga objawionej, wikła się, schodzi na manowce błędu, chwyta omamiające ogniki jako zbawcze światła, gotów polecić człowiekowi, aby padł na kolana nawet przed Buddą, bo i to się dzieje w Europie, byle tylko nie pójść za Chrystusem. Patrząc na te zboczenia rozumu, bolesne i smutne, tem więcej dziękujmy Bogu, że nam dał w wierze katolickiej wypróbowanego przewodnika na czas naszej pielgrzymki ziemskiej ku niebieskiej ojczyźnie — dziękujmy z serca, że nam pozwolił być uczniami Tego, który jeden tylko z ludzi mógł szczerze powiedzieć o Sobie: Jam jest droga, prawda i żywot! Amen.

X. Franciszek Gabryl.

Istota i rozwój zagadnienia o sumieniu.

(Ciąg dalszy).

U wspomnianych przed chwilą Greków, już w bardzo wczesnej epoce, bo w okresie tworzenia się eposu Homerowego, dają się łatwo wyśledzić oznaki prymitywnych nad su-

mieniem refleksyi. W Iliadzie i Odyssei występują one wprawdzie bez wszelkich śladów teoretyzowania, bez pretensyi do ogólniejszego ujęcia tego zagadnienia, bez jakichkolwiek metafizycznych wniosków, coby zresztą było sprzeczne z wybitnie narracyjnym charakterem rapsodów Homerowych. Spotykamy tam jedynie praktyczne stwierdzenie istnienia i władztwa imperatywu moralnego i jego sankcyi i liczenie się samorzutne z prawidłami, krępującemi ludzką swawolę, do której aż nadto byli skłonni bohaterowie eposu. Ojcobójstwo (Il. IX 460 sq.), posługiwanie się zatrutemi strzałami (Odyss. I 261 sq), zuchwałe zaloty gachów (Odyss. II 265) napiętnowane są jako czyny sprzeczne z ustalonym porządkiem rzeczy, z ogólnym sposobem i tokiem sądzenia bogów i ludzi — a zatem niedopuszczalne i karygodne. Autorowie monografii historycznych o kwestyi sumienia, jak W. Schmidt[1]) i inni, cytują nadto wiele charakterystycznych zwrotów i wyrażeń na to samo wskazujących.

Daleko lepsze wyobrażenie o zapatrywaniach na fakty i procesy duchowe, z pojęciem sumienia i wogóle moralności związane, — głębsze w każdym razie niż te opisy, na które zdobyć się mogli przypuszczalni twórcy (lub twórca) Iliady i Odyssei, uprawiający jednostronny kult siły i tężyzny fizycznej, dają nam starogreckie tradycye mitologiczne. Legendy te i opowiadania nie wiele są późniejsze od epoki Homerowej, a treść ich niezmiernie rozpowszechniona i popularna, daje

---

1) W. Schmidt „das Gewissen". Leipzig r. 1889, str. 51. Praca ta odznacza się obfitym materyałem historycznym, wszelako brak jej najczęściej krytycznej jego oceny i wniosków.

Najgruntowniejszemi monografiami, zwłaszcza w zakresie filozofii greckiej, są: studyum Kählera „Das Gewissen". Band I. Halle 1878 i wyczerpana dziś dyssertacya Iahnel'a „De Conscientiae notione" Berlin 1862. Stäudlin'a Geschichte d. Lehre v. Gewissen, Halle 1824 jest dziś już przestarzała.

Po za ramy badań historycznych sięgają starsze już prace W. Gassa (Lehre v. G. Berlin 1869) i R. Hoffmanna (Lehre v. G. Leipzig 1866). Nowsze prace o sumieniu mają charakter wyłącznie systematyczny, historyi zaś samodzielnie nie poruszają z wyjątkiem kilku artykułów specyalnych lub monografii, o których później będzie wzmianka.

nam oczywisty dowód żywego, właściwego całemu ludowi greckiemu — nawet już w początkach jego kultury — zainteresowania i ogromnych zdolności w kierunku ujmowania zagadnień transcendentalnych oraz zasadniczych przejść i objawów duchowych a zarazem przyswajania i uzmysławiania ich sobie mocą wybujałej wyobraźni, oczywiście nie w ramach formuł oderwanych, do czego w tak wczesnej epoce myśl ludzka nie była wcale przygotowaną — ale w kształcie fantastycznych przerzutów w świat zewnętrzny, których genezę i racyę psychologiczną podaliśmy na początku niniejszego rozdziału.

Z faktem tego rodzaju spotykamy się w starogreckim micie o Erinyach. Bóstwa te, pod różnemi zresztą znane nazwami, są typową objektywacyą, uosobieniem różnych momentów psychologicznego procesu, odgrywającego się w niespokojnem, zbrodnią obciążonem sumieniu. Wszelkie zgwałcenie moralnego porządku, czy przez człowieka, czy choćby przez bóstwo dokonane, nie zamyka się w sferze czynu materyalnego, np. dokonanej szkody lub zabójstwa i wynikających zeń zewnętrznych konsekwencyi, tj. pomsty i pościgu zabójcy przez poszkodowanych.

Owszem mit grecki wskazuje wyraźnie, że czyn tego rodzaju, mocą jakiejś dziwnej psychicznej reakcyi kazi samego sprawcę, piętnuje jego własne „ja“, które się z rozmysłem zdecydowało na zbrodnię, nadając najwewnętrzniejszemu sanktuaryum jego ducha znamię żywej, trwałej sprzeczności z uświęconem prawem, — kolizyi, która woła o pomstę do tych samych bogów, co normy działania zakreślili ludziom, — a która tymczasem, tkwiąc głęboko w pamięci, szarpie i rani serce odradzającem się przy każdej sposobności zbrodni wspomnieniem. Cały ten samosąd duchowy i jakby zdwojenie osobowości, mocą którego sumienie w obrębie tej samej jednostkowej świadomości oddziela się jakoby i odsuwa po dokonaniu przez człowieka złego uczynku od reszty jego duchowej istoty i staje naprzeciw niej jako prokurator i sędzia zarazem, gotów wydać wyrok potępienia przeciw samemu swemu posiadaczowi, za czyn w tej samej, co i ono, jaźni poczęty i zdecydowany, dzięki uśpieniu wpływów rozumu i prawa a powodowaniu się ślepą namiętnością — cały ten proces —

który o wiele później Kant ze sporą dozą słuszności wyobrażał sobie w formie rozprawy kryminalnej[1]), jest już odtworzony w prymitywniejszej postaci w micie o Erinyach w szeregu jakby kinematograficznych obrazów akcyi prześladowczej, jaką przeciw człowiekowi prowadzą złowieszcze bóstwa. Stąd mowa w podaniu o duchu prześladowczym (μιάστωρ), który skalanego zbrodnią człowieka jak cień ściga, o duchu zemsty (προστρόπαιος), do którego się pokrzywdzony o pomstę na złoczyńcę zwraca, o duchu kary (παλαμναῖος), który mordercę nawiedza — wszystko to symbole poszczególnych etapów walki zgwałconej powinności z jej gwałcicielem na forum sumienia[2]).

Illustracyą poetycką i uzupełnieniem podań o Erinyach jest tragedya grecka. Trzej genialni jej przedstawiciele Eschylos, Sofokles i Eurypides odczuli najgłębszy tragizm serca ludzkiego, kryjący się w tych legendach i oddali go w swych utworach, czerpiąc ich wątek wprost z duszy i ust ludu i dając nam przez to klasyczny komentarz do poglądów i pojęć na prawo i sumienie, pogłębiających się w świadomości ludowej. Podczas gdy mit starogrecki uwzględniał raczej stronę psychologiczną: sumienie obarczone winą, bez głębszej analizy jego przyczyn, tudzież przedmiotowego odpowiednika, tragicy akcentują również i stronę objektywną zagadnienia: niezmienne władztwo praw odwiecznych, rządzących wolnymi czynami ludzkości a stanowiących istotę porządku moralnego i warunek konieczny równowagi społecznej, której i bogowie i ludzie bezwzględnie podlegają, przed którą ustąpić muszą wszelkie osobiste względy — wszelka nawet racya stanu. Skoro namiętność w swym ślepym pędzie odważy się wyłom zrobić w zakonie przyrodzonym, skoro swawola indywidualna ośmieli się stanąć na poprzek ogólnemu prawu, konflikt ten grozi naruszeniem podstaw ustroju społecznego, harmonii między niebem a ziemią, między wolą jednostkową — a ustawą ogólną, puszczenie go płazem wywołałoby niebezpieczny precedens,

---

[1]) Tugendlehre § 13 wyd. Rosenkranza i Schuberta t. IX. 293 str.

[2]) Nägelsbach „Nachhomerische Theologie", str. 339, cfr. Schmidt o. c. str. 54.

byłoby sankcyonowaniem bezładu i anarchii. Nieba nie mogą ścierpieć tej anomalii, muszą pilnować, aby nastąpiło przywrócenie i ustalenie równowagi zachwianej przez wykroczenie jednostki, znieważone prawo musi tryumfować kosztem upokorzenia, zgnębienia swego burzyciela[1]). Nemesis, uosobienie justitiae vindicativae, sprawiedliwości i ładu społecznego, — mszczącego się za naruszenie owych podstaw, układa bieg wypadków i kieruje losami świata, posługując się ludźmi, jakby pionkami w celu wykonania sankcyi koniecznej. Pomsta ta naruszonego moralnego porządku ma dwa równoległe kierunki działania: jeden na dnie duszy, t. j. tam, gdzie się poczęła namiętność, gdzie powstał pierwszy obraz i intencya zbrodni. Charakter kary duchowej, tj. wyrzuty sumienia, dostosowany jest do psychicznej natury żądz, które popchnęły człowieka do zbrodni: jak one kotłowały w sercu, usiłując zagłuszyć głos zdrowej refleksyi i poczucie prawa, aż wreszcie obaliły autorytet sumienia i rozszalałe, bez hamulca pomknęły ku zbrodni, — tak i głos zdeptanego zbrodnią sumienia odzywa się po uczynku ciągłym, ustawicznym wyrzutem, nękając duszę dniem i nocą, burząc pokój wewnętrzny, przechodząc wreszcie w manię prześladowczą aż do obłąkania („μνησιπήμων πόνος“ Eschylos, Agamemnon w. 180)[2]).

Drugi kierunek kary zmierza na zewnątrz. Ponieważ czyn karygodny przeszedł in ordinem executionis, ponieważ został dokonany na forum publicznem — przeto temu jawnemu zgwałceniu porządku moralnego odpowiedzieć musi restytucya, zadośćuczynienie — przed oczyma wszystkich, przez zgładzenie, zniszczenie buntowniczej jednostki, aby wszyscy

---

[1]) Por. np. Dobitne określenie odwieczności praw bożych w Edypie Królu w. 865 i w Antygonie ww. 450 sq. i 1349.

[2]) Por. Eurypidesa Orestes w. 396; 400 itd. Por. Kähler str. 148 sq. Ze względu na cel niniejszego szkicu nie możemy się wdawać w szczegóły i przytaczania ustępów illustrujących nasze uwagi. Obszerną egzegezę całego szeregu wybitnych wyimków z greckich tragików znajdzie czytelnik w cytowanych już monografiach, zwłaszcza Kählera, Gassa i Schmidta.

poznali i uznali, że prawa niebios mają swą sankcyę zewnętrzną[1]).

Poprzestając na tych uwagach ogólniejszych, pragniemy jeszcze tylko pobieżnie zaznaczyć, że tak we wspomnianych podaniach, jak zwłaszcza w ich opracowaniu dramatycznem występuje z biegiem czasu ignorowane dotąd pojęcie złagodzenia, przebaczenia kary (por. Eumenidy Eschylosa), ale zawsze dzięki interwencyi niebios — tak, że występek zostaje nadal występkiem, sumienie nie traci swej powagi, — tylko ekspiacya winy zostaje zawieszoną specyalnym aktem łaski bogów.

Nadto u najmłodszego z tragików — Eurypidesa można spostrzedz wyraźny — pod wpływem rozbudzonego sceptycyzmu owego wieku — rozrost refleksyi kosztem dotychczasowego symbolizmu i projekcyi. Odziera on bogów bez skrupułu z nimbu, który ich otaczał, nie wahając się wprost zaczepiać mitologiczne wierzenia ludu. U niego też wyraźniej, niż u dwóch jego poprzedników, występuje twierdzenie, że Erinye nie mają bytu realnego. Eschylosowy Orestes uważa je za postaci rzeczywiste, — u Oresta Eurypidesowego są one jedynie przywidzeniem chorego mózgu, subjektywnym, patologicznym wytworem skalanego sumienia, które w swem wewnętrznem rozdarciu, wśród krwawiących wyrzutów, majaki gorączkowej wyobraźni poczytuje za żywe istoty — za właściwą zaś sumienia bolączkę uważa „świadomość dokonanej zbrodni“[2]). Skoro Eurypides nie wahał się rzucić ludowi w oczy tak realistycznych twierdzeń, — widać, że lud był już do tego przygotowany, że w jego umysłowości myśl refleksyjna i zdrowy krytycyzm rugować zaczął fantastyczne twory — a na tem tle nic nie tracą podstawy etyczne, bo sceptycyzm mógł zaatakować tylko ich szatę zewnętrzną, ich

---

[1]) Słusznie co do istoty greckiego pojęcia nieubłaganej konieczności losu zauważa Schmidt o. c. pg. 43, że nie jest to konieczność, którąby wykluczała etyczne jego umotywowanie, bo nikt pod fatum nie podpada, kto na nie przez występki nie zasłużył.

[2]) Orestes w. 396.

mitologiczne ujęcie, byt zaś ich realny, na orzeczeniu świadomości powszechnej oparty, nie został tknięty[1]).

Rzecz dziwna, że rozwinięte w tragedyi greckiej poglądy na prawo i sumienie, acz oczywiście nie kompletne i urywkowe, — musiały długie lata czekać na sformułowanie naukowe i logiczne związanie w jedną całość. Negacya prawdy bezwzględnej musiała pociągnąć za sobą zaprzeczenie powszechnego przyrodzonego prawa. Gorgias i Protagoras, najgłośniejsi przedstawiciele sofistyki, współcześni Eurypidesowi, byli pod tym względem konsekwentni, ucząc, iż dobro i zło zależy od naszych subjektywnych koncepcyi. Ponieważ metoda sofistów, idąca od świata zmysłów, poczytywanego za ułudę, ku wewnątrz, ku duchowi, nie przyniosła i nie mogła przynieść nic więcej nad destrukcyę dawnych tworów naiwnej — ludowej umysłowości — a pozytywnych wyników nie dała, Sokrates, występujący jako uosobienie reakcyi przeciw filozoficznemu nihilizmowi, postanowił wyjść z wprost przeciwnych przesłanek: z niemiłosiernie przez sofistów skrytykowanego zdrowego rozumu, który jego zdaniem jest normą sądzenia a i normą postępowania. Owszem, stawia on trochę hazardowne twierdzenie, że poznanie intelektualne dobra etycznego nie tylko jest warunkiem moralnego postępowania, ale że stanowi właśnie samą istotę cnoty[2]): cnotliwym i sprawiedliwym zdaniem jego jest ten, kto wie i rozumie, co jest dobrem i cnotą. Funkcye przeto sumienia zostają u Sokratesa pochłonięte niejako przez rozszerzenie kompetencyi intellectus practici, będącego najwyższą instancyą w wszelkich sprawach myśli czy czynu ludzkiego. Nawiązania więc z dawną zdrową myślą o sumieniu u Sokratesa niema — sofistyka spaliła mosty za sobą, musiał więc Sokrates budować samodzielnie.

(C. d. n.)

X. Dr. Eustachy Jełowicki.

---

[1]) Schmidt 48 sq.

[2]) Cfr. Zeller, Philosophie der Griechen II. pg. 149.

Kilka uwag o działalności katechety jako duszpasterza.

(Dokończenie).

Teraz słów kilka o obowiązku naszym głoszenia uczniom słowa Bożego w niedziele i święta.

Urząd kaznodziejski jest dla każdego kapłana pełnym odpowiedzialności i wymaga obok sumiennego przygotowania się do każdej nauki, także pewnych warunków fizycznych, jak głosu dobrego, odpowiedniego wygłoszenia, gestykulacyi, lecz każdy to przyznać musi, że trudniejszem jest zadanie katechety jako egzhortatora.

Musi on nie tylko głosić słowo Boże z namaszczeniem, lecz bardzo uważać także i na formę zewnętrzną. Niechby tylko popełnił w egzorcie jaki błąd gramatyczny, zaraz go uczniowie podchwycą i ośmieszą, bo umysł młodzieńczy jest płochy i częstokroć imponuje mu bardziej piękny frazes, niż myśl poważna.

Z tego powodu powinna egzorta odznaczać się nie tylko głębokością myśli i powagą ewangeliczną, lecz także piękną zewnętrzną szatą, a zwłaszcza powinien katecheta poprawnie wyrażać się po polsku, bo uczniowie, a zwłaszcza starsi, przyzwyczajeni są do tego, że im profesor wytyka każdy błąd w zadaniu i przy ustnej odpowiedzi i z tego też powodu razi ich, jeśli w słowach katechety lub rekolektanta spostrzegą pewne usterki.

Co do treści egzort, powinien katecheta baczyć na to, by jego przemowy były aktualne i dostosowane do warunków, wśród których obraca się młodzież.

Są pewne tematy, do których co roku musi powracać katecheta, inne może i powinien zmieniać, by uczniowie zaraz po wypowiedzeniu pierwszego zdania nie mówili szeptem jeden do drugiego: „O tem już nieraz słyszeliśmy".

Zresztą i te tematy, które z natury rzeczy muszą co roku się powtarzać, niechaj katecheta podaje w nowej formie, lub z innego punktu widzenia.

Od czasu do czasu są bardzo pożądane dla młodzieży przemówienia treści religijno-patryotycznej, bo jak ryby na wędkę, tak serca młodzieży bierze katecheta na tego rodzaju przemowy.

Trzeba jednak i na to baczyć, by za często nie jeździć na koniku patryotyzmu, bo uczniowie łatwo się z tem oswoją i wtedy słowa kaznodziei nie robią na nich wrażenia.

Jak długo ma mówić katecheta?

Ani za długo, ani też za krótko. Nie za krótko, bo przecież ma on w egzortach przedstawić uczniom cały łańcuch prawd Bożych, oraz ich obowiązków wobec Boga, bliźnich i samych siebie; — nie za długo, bo umysł młodzieńczy łatwo się nuży i zwraca uwagę na co innego.

Trzeba się liczyć z psychologią słuchaczy i w czasie nauk rekolekcyjnych i tak rozłożyć przemowy, by ucznia zajęły, a nie nużyły.

Według mego zdania powinna trwać zwyczajna egzorta od 20—25 minut, a nigdy dłużej jak pół godziny, nauki zaś rekolekcyjne najwyżej trzy kwadranse.

Dobór kaznodziei na czas rekolekcyi jest rzeczą trudną, lecz konieczną, bo uczniowie potrzebują zmiany kaznodziei i nic w tem dziwnego!

Wszak oswoili się już ze sposobem mówienia swego katechety przez cały szereg lat, z jego głosem, gestykulacyą i pewnego rodzaju zwrotami w jego przemowach.

Konieczną więc jest rzeczą, by im wtedy inny kapłan głosił słowo Boże, bo wszak rekolekcye, to walny szturm do serc i sumień uczniów.

Baczną uwagę zwróci katecheta na zachowanie się uczniów w kościele podczas mszy św.

W tym celu przypomni im od czasu do czasu, co to się dzieje na ołtarzu podczas mszy św. i zaklnie ich na wszystkie świętości, by swą płochość i żywość młodzieńczą zostawili przed bramą kościoła, a nadto pouczy ich dokładnie, jak się mają zachowywać i modlić podczas mszy św.

Jeżeli tylko jeden katecheta jest w zakładzie, niech od czasu do czasu poprosi innego kapłana o odprawienie mszy

św. dla uczniów, sam zaś niech się przypatrzy, jak się zachowują podczas niej uczniowie.

Niech zwraca ich uwagę z cierpliwością i miłością na usterki pod tym względem, chyba że się wydarzą karygodne wybryki — wtenczas niech ich surowo zgromi i zagrozi karą Bożą za nieuszanowanie miejsca świętego.

Zachęci ich także, by używali książek do nabożeństwa, lub koronek. Trzeba im wyraźnie powiedzieć, że mogą się wprawdzie modlić i bez książek, ale że umysł młodzieńczy jest za płochy, by się mógł należycie skupić bez podręcznika do modlitwy i że mimo najlepszej woli myśl niejednego ucznia może często ulatywać podczas mszy św. w krainę marzeń, nie mającą nic wspólnego z bezkrwawą ofiarą i świętością miejsca.

A dalej trzeba dążyć do tego, by uczniowie przyzwyczajali się do przystępowania w czasie mszy św. do stołu Pańskiego.

Zdarza się, iż uczeń pójdzie prywatnie do spowiedzi, ale nie ma odwagi wobec całego zakładu przystąpić do Komunii św. Trzeba ich do tego przyzwyczajać, by mieli odwagę manifestowania swej wiary nawet wobec liberalnych kolegów, by się nie wstydzili Chrystusa, lecz Go wyznawali śmiało przed całym światem!

Należy zacząć tę praktykę od młodszych uczniów — a z wolna przyzwyczają się do tego i starsi.

Uczniowie, biorący udział w śpiewie na chórze, niech będą także przedmiotem bacznej troskliwości ze strony katechety. Wszak nam wiadomo, że tam dopuszczają się często wybryków wszelkiego rodzaju, zdaje się niejednemu z nich, że im tam więcej wolno niż w samym kościele.

Dlatego niech katecheta uprosi którego ze świeckich profesorów, by na chórze podczas nabożeństwa zwracał uwagę na zachowanie się uczniów, a od czasu do czasu niech tam sam zaglądnie.

Co się tyczy śpiewu kościelnego, powinien katecheta postarać się o to, by był wykonywany w sposób godny ofiary mszy św.

Wprawdzie sam nie ma w tym względzie decydującego głosu, ale potrafi wiele zdziałać w tym kierunku w porozumieniu się z dyrektorem zakładu i nauczycielem śpiewu. Młodzież lubi śpiew i chętnie uczęszcza na naukę tego przedmiotu, jeżeli nauczyciel umie obudzić zamiłowanie do niego.

W pracy około podniesienia śpiewu winien katecheta wspierać nauczyciela, bądź to zachęcając uczniów, obdarzonych dobrym głosem, do licznego zapisywania się na ten przedmiot, bądź też dopomagając mu swą obecnością do utrzymania karności i porządku podczas samej nauki.

Ma to niemałe znaczenie i z tego powodu, ponieważ na nauczycieli śpiewu powołuje zwyczajnie dyrekcya siły z po za grona zakładu, które wobec uczniów nie mogą mieć tej powagi, jaką ma nauczyciel przedmiotu obowiązkowego.

Obok śpiewu figuralnego, ile możności w języku ojczystym, powinni uczniowie pielęgnować pieśń ojczystą na jeden lub dwa głosy, oczywiście po odbyciu próby.

Co drugą niedzielę, lub od czasu do czasu, niechaj wszyscy uczniowie, zgromadzeni w kaplicy, lub kościele, śpiewają podczas mszy św. nasze piękne pieśni, które częstokroć idą w zapomnienie do tego stopnia, że młodzież zna zaledwie pierwsze zwrotki i to tylko niektórych pieśni.

W każdym razie niech katecheta przypomina swoim wychowankom, że śpiew jest integralną częścią obrzędów liturgicznych, że podnosi ducha i serce do Boga i że „qui cantat, bis orat“ — byleby tylko śpiewał na większą cześć i chwałę Bożą, a nie dla próżnej chwały i poklasku ludzi.

Pomocniczymi środkami do uświęcenia i zbawienia chrześcijan są liczne nabożeństwa i bractwa, ustanowione przez Kościół, lub jego powagą zatwierdzone.

Katecheta powinien korzystać także z tych środków, by serca swych uczniów pociągać do Boga.

Powinien się jednak i w tym względzie kierować wielką roztropnością, by wybrać dla uczniów tego rodzaju nabożeństwa, które im nie wiele zabierają czasu, a jednak podnoszą ich serca ku ojczyźnie niebieskiej.

Mam tu na myśli żywy różaniec, nabożeństwo do Serca P. Jezusa i nawiedzanie Najśw. Sakramentu.

Dobrą i zbawienną rzeczą są także „Sodalicye Maryańskie“, lecz należyte ich prowadzenie wymaga bardzo roztropnego kierownictwa i zwyczajnie należą do nich tylko niektórzy uczniowie zakładu[1]).

Natomiast według mego zdania, wszyscy uczniowie powinni być zapisani do Serca P. Jezusa i różańca żywego.

Niech przeto katecheta wytłumaczy im na początku roku szkolnego, lub przypomni, na czem polega to nabożeństwo, niech da każdemu poświęcony medalik z wizerunkiem Najśw. Serca P. Jezusa i pouczy ich nie tylko o licznych łaskach, jakie spływają na czcicieli Boskiego Serca, ale niech także często upomina, by każdego poranku przy rannym pacierzu ofiarowali Boskiemu Sercu Jezusa, przez Serce Niepokalane N. Maryi Panny, wszystkie sprawy i uczynki, łzy i uśmiechy życia, oraz by z uszanowaniem całowali rano i wieczór przed udaniem się na spoczynek swój medalik.

Co do żywego różańca, to również może katecheta zapisać do niego wszystkich uczniów w klasie, wytłumaczywszy im poprzednio, iż nawet nie może przypuścić, by uczeń polski i katolicki nie chciał uczcić Królowej różańca św. przez odmawianie jednego dziesiątka.

W tym celu przeczyta im, lub barwnie opowie, jak to nasi królowie, hetmani, szlachta, mieszczanie i cały lud polski odmawiał różaniec, niech wskaże na liczne cuda i łaski wyjednane u Boga za pośrednictwem Matki Najśw., a podzieliwszy ich na róże, zachęci ich gorąco do odmawiania codziennie jednego dziesiątka.

Tu mogą dobre oddać usługi „Tajemnice różańca św.“, które opracował specyalnie dla starszej młodzieży X. Alfons Trepkowski pod tytułem „Uczelnia charakteru“ (Warszawa, wydawnictwo księgarni M. Szczepkowskiego).

Niech każdy uczeń wybierze sobie jedną tajemnicę i niech się ćwiczy w odpowiedniej cnocie przez miesiąc Zresztą, jak

---

[1]) Por. „Mies. Kat. i Wych.“ z r. 1912, str. 119 i 446. Do przedmiotu tego jeszcze wrócimy. *Dop. red.*

każda inna sprawa, tak i różaniec żywy potrzebuje czujnej baczności i opieki ze strony katechechety.

Co miesiąc na początku niech dokona zmiany tajemnic różańca, czy to w kaplicy czy w kościele, czy też wreszcie w szkole na godzinach religii. Przy tej sposobności przemówi do nich krótko, zachęci do wytrwania, albo też odczyta odpowiedni ustęp z książki, a nadto odmówi wspólnie z uczniami jeden dziesiątek i litanię do Matki Boskiej.

Podpisany dokonywał początkowo zmiany tajemnic różańca w kościele lub w kaplicy, ale chociaż przychodziła znaczna ilość uczniów i to klas najwyższych, musiał zmienić metodę w tym względzie, ponieważ wielu uczniów mimo najlepszej chęci nie mogło brać udziału w tej zmianie z powodu odległości od kościoła, zajęcia lekcyami po mieście, lub lekcyami nadobowiązkowemi, a wreszcie niejednokrotnie stawał nam na przeszkodzie deszcz, śnieg, lub mróz.

Od dwóch lat czynię to w klasie w sposób powyżej podany i przekonałem się, że tak jest najlepiej, ponieważ biorą w tem udział wszyscy uczniowie, a niejeden z nich odmówi choć raz w miesiącu razem z kolegami dziesiątek różańca, któregoby inaczej nie odmówił.

Im wcześniej rozpocznie katecheta tę zbożną pracę z uczniami, tem lepiej, bo się do niej przyzwyczają tak, iż potem sami interpelują go, kiedy będzie zmiana tajemnic?

Gdyby mi kto zarzucił, iż zużywam na ten cel czas, przeznaczony na naukę religii, to odpowiedziałbym, że przy dobrej woli da się jedno z drugiem pogodzić. Niechaj się uczniowie przyzwyczają do tego, by naukę przeplatywali modlitwą, a zresztą wrogowie wiary św. nie przebierają dziś w środkach, by młodzież ciągnąć do złego, więc i nam niech będzie wolno używać takich środków, jakie okażą się najlepszymi do osiągnięcia pożądanego celu.

Dodam i tę uwagę, iż wprowadzenie żywego różańca daje sposobność katechecie do częstszego posyłania uczniów do spowiedzi, a zwłaszcza w adwencie, w miesiącu maju — oczywiście bez kartek.

A teraz dodam jeszcze słów kilka o nabożeństwach uczniów w maju i w październiku, w tych miesiącach poświęco-

nych szczególniejszej czci Matki Najśw. w całym świecie katolickim.

Uczniowie, o ile czas im na to pozwala, biorą zazwyczaj udział w tem nabożeństwie. Katecheta powinien ich gorąco do tego zachęcać, ale zarazem przestrzegać przed wszelkiem nadużyciem i zachowaniem się lekkomyślnem w kościele lub przed kościołem, co więcej, niech sam popatrzy od czasu do czasu, jak się zachowuje młodzież w kościele.

Gdzie stosunki na to pozwalają, niechaj katecheci po wspólnem porozumieniu się upatrzą kościół, lub kaplicę i tam niech odprawiają tak majowe, jak październikowe nabożeństwa specyalnie dla młodzieży szkolnej, a trud i koszt z tem połączony hojnie się opłaci.

Pozostaje jeszcze do omówienia kwestya bardzo ważna, jakim sposobem mamy obudzać wśród młodzieży szkolnej miłość i cześć ku P. Jezusowi, utajonemu w Najśw. Sakramencie Ołtarza.

Kiedy materyalizm życiowy i chęć używania rozkoszy tego świata pokrywa pleśnią serca młodzieńcze i stara się je oderwać od Boga, my katecheci winniśmy wytężyć wszelkie siły, by je zwracać ustawicznie do tego nigdy nie gasnącego źródła miłości i darów wszelakich, jakiem jest Najśw. Sakrament Ołtarza, bo stąd płynie dziwna moc, która z młodzieniaszków słabych i ułomnych czyni bohaterów i aniołów w ludzkiem ciele.

Zwracajmy więc często uwagę uczniów na ten cud nad cudami przy każdej nadarzonej sposobności, czy to w egzortach, czy na godzinach religii, czy nawet podczas wycieczek, kiedy przechodzimy koło kościoła.

Pouczajmy ich dokładnie, jak się mają zachowywać wobec Najśw. Sakramentu w kościele, podczas mszy św., przed Komunią i po niej, podczas uroczystych procesyi, lub gdy spotkają kapłana, spieszącego z wiatykiem do chorego.

Ile zaś razy nadarzy się do tego sposobność, należy urządzać błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem po mszy św.

Zwyczajnie bywają uczniowie tylko na cichej mszy św., z tego też powodu wielu z nich nie wie, jak się mają zacho-

wać na nabożeństwie z wystawieniem N. Sakramentu w puszce lub monstrancyi.

Kiedy się odprawia w kościele parafialnym nabożeństwo czterdziestogodzinne, lub adoracyjne, zachęci katecheta uczniów, by wstąpili do kościoła choć na kilka minut i oddali hołd Panu nad pany a może zdoła przy pomocy Bożej utworzyć między młodzieżą kółko adoracyjne[1]).

Pomimo wszelkich trudności, z jakiemi się spotykamy, nie wolno nam opuszczać rąk i dać się opanować zniechęceniu, lecz trzeba otrząsać się z niego i zachować zawsze pogodny umysł i wielkie serce dla młodzieży.

Ona dziś biedna bardziej niż kiedykolwiek nią była — więc niechże katecheta będzie jej matką zawsze kochającą i ofiarną, mimo jej błędów, a nawet ciężkich zmartwień, jakie mu nieraz sprawia.

Nie mogę mieć zresztą oczywiście pretensyi, że potrafiłem przedmiot tak obszerny w tych kilku uwagach wyczerpać.

Nie miałem też bynajmniej zamiaru narzucania komukolwiek swego zdania, lecz pisałem to, co mi dyktowało serce, chcąc zachęcić innych do zabrania głosu w tej sprawie.

„Służmy poczciwej sprawie, a jako kto może,
Niech do wspólnego dobra dopomoże“!
(Kochanowski).

X. J. Wątorek.

Menéndez Pelayo.

(Przyczynek do charakterystyki dzisiejszej Hiszpanii.)

Produkcya umysłowa tak z dnia na dzień wzrasta w całej Europie, każdy kraj tyle dzieł i ludzi wydaje wybitnych, że znać choć pobieżnie swoich jest rzeczą niełatwą, a cóż dopiero

---

[1]) Por. referat X. kat. Jeża, wygłoszony na kongresie euch.. w Wiedniu, p. n. „Podniesienie czci Eucharystyi św. wśród młodzieży szkolnej“ (Kraków, 1912). *Dop. Red.*

obcych. I dzieje się z powodu tego ogromu dorobku kulturalnego ludzkości, że imiona głośne w jakim kraju są ledwie wspominane u najbliższych sąsiadów, a do dalszych i brzmienie ich nie dochodzi. A i podział tej tak zwanej „sławy" jakże nierównomierny, niesprawiedliwy! Imię powieściopisarza czasem skromnej wartości, obiega Europę, a epokowe odkrycia naukowe znane są szczupłej garstce uczonych. Iluż to z tych kroci tysięcy Polaków, znających Conana Doylego i jego niemądrych Sherloków, niema pojęcia o światowem znaczeniu odkryć naszego chemika Olszewskiego? To też jeżeli komu do rozmachu niejako w pracy, twórczości potrzebny uśmiech sławy lub choćby uznania, zaprawdę prędko mu ręka omdleje.

I jest jeszcze jedna niesprawiedliwość, która się dzieje już nie jednostkom tylko, ale całym narodom: oto że parę krajów, trzymających poniekąd berło kultury, tak swą hegemonią przyćmiewają resztę, iż i najmniejsze ich wielkości są wszędzie bardziej znane od potężnych talentów krajów „nie uprzywilejowanych." Drugorzędny nowelista francuski ma przecie większą sławę od pisarza tej miary, co Blasco Ibañez powieściopisarz, któremu do rzetelnej i zasłużonej sławy przeszkadza to jedno tylko, że jest Hiszpanem.

A rozciąga się ten cień „niesławy" swego rodzaju na naród cały; bo jużci kto co chwila czyta po czasopismach i widzi na półkach księgarskich rzeczy francuskie, angielskie, nawet włoskie, a z hiszpańskiemi mniej niż rzadko się spotyka, ten mniej lub więcej świadomie dochodzi do wniosku, że widocznie w tej Hiszpanii dziś już nic cennego nie powstaje, że kraj ten stanął po za nawiasem kulturalnym Europy. Oczywiście chwila refleksyi wystarczy, by sobie uprzytomnić całą paradoksalność takiego przypuszczenia i smutno uśmiechnąć się na myśl, że Hiszpania o Polsce wie w sam raz tyle, co Polska o Hiszpanii. [1]).

---

[1]). Sympatyczną i — zdaje się — jedyną pośredniczką między Hiszpanią a Polską jest P. Zofia Casanova-Lutosławska, zaszczytnie znana powieściopisarka, która tak w swoich powieściach (n. p. Mas que Amor i i.) jak w okolicznościowych artykułach omawia sprawy polskie w Hiszpanii, a i sprawy hiszpńskie czasem u nas.

A swoją drogą, szkoda że tak jest, bo te dwa narody mają sporo wspólnych cech w charakterze i dziejach; w obu idea narodowa przez całe wieki ściśle złączona z religijną i to katolicką: w obu dużo entuzyazmu, mało wytrwałości, bo wiele uczucia i wyobraźni, a mało pogłębienia myśli; w obu wreszcie po epoce świetności dziejowej upadek polityczny, jeźli w Hiszpanii mniej zupełny niż u nas, to jednak bolesny dla każdego patryoty, porównującego stan dzisiejszy z czasami Karola V, kiedy to w monarchii tego władcy „słońce nie zachodziło“. Ale też dlatego właśnie ta świetna przeszłość, jak u nas, tak w ojczyźnie Cyda szczególnie droga, ukochana — i Hiszpanie dzisiejsi odczuliby lepiej od innych słowa wieszcza: „ty jesteś jak zdrowie....“

W poezyi hiszpańskiej wieku XIX. znajdujemy nieraz nutę podobną wielkiego żalu za przeszłością. Znakomity liryk Józef Espronceda tak śpiewa w swej elegii: Do ojczyzny:[1])

Jakże samotny kraj, co przed wiekami
        Żywił miliony narodu!
Którego króle bywali władcami
        Od wschodu hen do zachodu!

. . . .

Gdzież się podziały twe mury i wieże,
        Ojczyzno ma ukochana?
Gdzie bohaterscy twoi rycerze,
        Gdzie szabla niezwyciężana?

„Była niegdyś Hiszpania — żali się poeta — w czasach szczęśliwych było stu bohaterów, a narody z trwogą patrzały na nią pełną piękna i wdzięku.

Jak cedr Libanu, jaśniejszy w zorzy,
        Wznosiła czoło swe śmiała
Jak grzmot, co serce dziewicy trwoży,
        Tak ona ich przerażała.

A teraz tak opuszczona „jak porzucony kamień na pustyni“.

Jej dawną świetność, potęgę pokryło
        Czcze zielsko i piasek pusty,
A nieprzyjaciel, co drżał przed jej siłą,
        Lży szyderczemi ją usty!

---

[1]). Wszelkie cytaty podaję we własnym przekładzie.

Za tem ukochaniem przeszłości idzie oczywiście jej apoteoza, zrozumiała sama w sobie, a cóż dopiero u narodu, gdzie tyle uczucia, entuzyazmu, poezyi. I tu nie da się zaprzeczyć, że w Hiszpanii optymizmu jest więcej niż u nas; jest tam także pewnego rodzaju mesyanizm, zwrócony jednak ku przeszłości, nie sięgający tak w teraźniejszość i przyszłość, jak w mistycznej historyozofii naszych romantyków. Hiszpanie wierzą, że mieli wielką misyę dziejową i że tę misyę rzeczywiście spełnili. Oto słowa, wypowiedziane na uroczystości ku uczczeniu codopiero zmarłego myśliciela i pisarza Menendeza Pelaya, który był właśnie najświetniejszym przedstawicielem tego kierunku myśli hiszpańskiej: Mowca, [1]) apoteozując epokę świetności swego kraju, twierdzi, że Hiszpanie „kolonizowali Europę“! i uzasadnia to bardzo ciekawie: „Ponieważ Belgia i Holandya były naszemi prowincyami, tak samo Burgundya i Franche-Comté i lenno nasze Włochy i jedno jezioro hiszpańskie: Morze śródziemne i cząstka nasza: Austrya i to samo w Antypodach Apenin i Alp, skoro na szczytach andyjskich mógł powiewać tryumfalnie nasz świetny sztandar, ponieważ Bóg, by nagrodzić wiarę Hiszpanii, sprawił, byśmy dali widowisko, którego nie dał nikt w historyi, nazwałbym je cudem polityki dziedzicznej, bo ani Hannibal, ani Cezar, ani Aleksander, ani Napoleon nie mieli następców, natomiast my mieliśmy dwie trylogie władców, jakich nie znano w świecie“. Pierwszą trylogią, według mowcy, to Izabella Katolicka i Ferdynand i po nich obejmujący ster rządów Kardynał Cisneros; druga to Karol V. i jego synowie Filip II. i Don Juan de Austria. Świetność tej epoki wydaje się mowcy tak niebywałą, że wychodzi po za ramy epopei. I oto gdy „katastrofa Grecyi“ znalazła swego Homera, „katastrofa rajska“ Miltona it.d. to dwa przedmioty tylko nie znalazły godnej siebie epopei: „Odkupienie nie miało epopei i wielkość Hiszpanii w. XVI. także jej nie miała“. „Ah! gdy przyjrzymy się wszystkim tym wielkim ludziom, królom, wojownikom, odkrywcom, uczonym,

---

[1]) Opis całej uroczytości z przemówieniami in extenso podaje dziennik katolicki: El Correo español z d. 10-go czerwca 1912, z którego czerpię cytaty powyższe.

artystom...., zdaje się, że tworzą las; my ich widzimy odosobnionych, a oni byli razem i by ich ogarnąć wówczas, trzeba było patrzeć na nich z nieba. Ale powiem wam więcej jeszcze: ta epopeja była tak wielka, że opiewać mogło ją tylko niebo i piekło; niebo, by nagrodzić ją światem, a piekło rykiem bezsilności, który i dziś jeszcze w upadku naszym nas ściga jakby w obawie, abyśmy znowu nie stali się wielkimi".

Przytaczam obszerniejszy ustęp jednego z licznych w tym samym tonie trzymanych przemówień, by dać obraz uczuć, pojęć patryoty hiszpańskiego pewnego pokroju (bo są i całkiem odmiennego!), by pokazać, jak historyozofia przeszłości tam zbliżona jest do naszego mesyanizmu, skoro wielkość Hiszpanii wieku XVI. zestawia się z dziełem Odkupienia świata.

A zestawienie to jest rozumiane bardziej na seryo, niżby się to wydawało; oto bowiem słyszymy dalej, że Hiszpanie nietylko walczyli dla swojej wielkości i rozszerzenia swej rasy, ale byli oni wybrańcami Stolicy świętej i rasy łacińskiej, ratowali cywilizacyę europejską. Zwycięstwa we Flandryi (Mühlberg) powstrzymywały pochód protestantyzmu, bitwa pod Lepanto złamała muzułmanizm it.d. I nie dość na tem: „Hiszpania nauczyła świat modlić się". Oto bowiem na soborze nicejskim biskup hiszpański Osio z polecenia tegoż soboru, jako jego przewodniczący, miał ułożyć sławny symbol wiary, który dziś cały świat chrześcijański odmawia; i znowu biskup hiszpański wieku X. San Pedro de Menonzo był twórcą rzewnego „Salve", a w wieku XIII. św. Dominik nauczył Kościół odmawiać różaniec.

Tych tytułów do wielkości Hiszpanii jest znacznie więcej jeszcze; poprzestaję na wymienionych jako najważniejszych; a trzeba wiedzieć, że powyższa apoteoza przeszłości wychodzi z ust licznych mowców, którymi są najwybitniejsze umysły Hiszpanii, pisarzy, uczonych, profesorów uniwersytetu, że słucha ich audytoryum, złożone z samej śmietanki intelektualnej kraju z biskupami na czele i entuzyastycznymi oklaskami im przerywa co chwilę, łącząc się całą duszą z treścią tych, nawiasem dodam — artystycznie wprost doskonałych przemówień.

Oczywiście nam zdala stojącym ten obraz przeszłości Hiszpanii wydaje sią bardzo pochlebionym. Dobrodziejstwa owej „kolonizacyi Europy“ są mniej pewne, skoro wspomniemy, że Belgia i Holandya po oderwaniu się od Hiszpanii bynajmniej nie upadły, ale owszem świetnie się rozwinęły i dziś zdaje się, przewyższają ów kraj „macierzysty“. O Burgundyi i Franche-Comté niema nawet co mówić, panowanie królów kastylijskich było tam za krótkie, przemijające, by „kolonizacyę“ tę brać na seryo. W dodatku historycy francuscy bardzo źle się wyrażają o okrucieństwach wojsk hiszpańskich na ziemi francuskiej. Prawda, że to samo zarzucają historycy hiszpańscy wojskom francuskim — i pewnie jedna i druga strona ma racyę, byli „ambo meliores“ — zresztą wojska Wallensteinów, Mansfeldów nie były na pewne ani trochę lepsze. Ale i Włochy niebardzo wdzięcznem sercem wspominają „kolonizacyę“ hiszpańską. A co do Kościoła samego, to dała mu Hiszpania na dwóch papieży jednego (Aleksandra VI), który honoru Kościołowi ani Hiszpanii zaiste nie przyniósł. Wreszcie ta, już nie ulegająca wątpliwości, kolonizacya Ameryki dokonała się w sposób zapewne nie gorszy jak kolonizacya germańska na gruzach Słowiańszczyzny i późniejsza trochę w Afryce środkowej (w wieku XIX i XX!), ale bądź cobądź okrucieństwa musiało tam być wiele, skoro tak głośno o tem było w Europie, nawet w katolickiej Francyi i skoro nawet Hiszpan, poeta, i to uczestnik walk przez niego samego opisanych bardzo ponure rzuca światło na to okrucieństwo swoich rodaków [1]).

---

[1]). Don Alonso de Ercilla (1533 — 1594) jako 21 letni młodzieniec udaje się do Chili i tam bierze udział w zgnieceniu buntu Araukanów; na miejscu już robi zapiski, a wróciwszy do kraju, z zebranego materyału pisze olbrzymi poemat epiczny, małej wartości pod względem estetycznym, zbyt ścisły w swym realizmie, ale cenny jako dokument historyczny. Podnosząc ogromną odwagę swych rodaków, nie tai jednak ich okrucieństw, a zarazem z całem uznaniem mówi o dzielności wrogów. O okrucieństwach Hiszpanów w Ameryce rozpisuje się także Montaigne (Essais ks III. r. 6.). Ale to pewne, że ludzie ówcześni, zwłaszcza na wojnie, byli wszyscy okrutni; toż wojny religijne na północy Europy w krajach najwyższą kulturą się chlubiących są tak pełne

A więc między cudną poezyą hiszpańskich patryotów a rzeczywistością jest rozdźwięk wyraźny. Ale spytajmy się zaraz: i gdzież go niema? Czy obraz panowania Ludwika XIV w duszy patryoty Francuza, Elżbiety w pojęciu Anglika nie są w podobnym rozdźwięku z rzeczywistością? — Ułomność, nieodłączna od jednostki ludzkiej, jest tem bardziej udziałem wielkich zbiorowisk tych jednostek, narodów, całej ludzkości — i jeżeli powiedziano, że niema wielkiego człowieka dla jego służącego, to coś podobnego możnaby powiedzieć o wielkościach dziejowych, które, czem bliżej im się przyjrzeć, tem bardziej maleją.

Zresztą nie przesadzajmy! Pod tym pryzmatem krytycyzmu naukowego nie ginie przecie cała poezya dziejowa jednostek czy narodów. I w Hiszpanii wieku złotego pozostanie jej jeszcze wiele, bardzo wiele nawet, a więc wiele prawdziwej wielkości. Historycy krajów germańskich zwłaszcza z upodobaniem rozpisywali się nad ciemnemi stronami Hiszpanii, przesadzając je złośliwie, a pomijając rozmyślnie to, co tam było naprawdę wielkiego — niepomni, że ich własne dzieje, tą metodą przedstawione, dałyby obraz co najmniej równie okropny.

Ten hiperkrytycyzm w ocenianiu dziejów Hiszpanii przedostał się z za granicy także do niej samej i w pierwszej połowie wieku XIX sporo pesymizmu wniósł do duszy hiszpańskiej względem własnej przeszłości. Otóż niedawno zmarły Menendez Pelayo tem właśnie tak chwycił za serce swój naród, że nie poetycznie, ale naukowo, z dowodami w ręku odbudował to, co burzono, że wykazał, ile prawdziwej wielkości było w dziejach i kulturze Hiszpanii i tym aktem niejako przywrócił rodakom swoim wiarę w siebie, która w pewnych granicach jest bądź cobądź jednym z koniecznych warunków odrodzenia narodu upadłego. I dlatego to zgon jego okrył

okrucieństw, nawet względem kobiet i dzieci (i to wspólnej żołnierzom narodowości!) popełnianych, że na prawdę trudno sobie wyobrazić, by Hiszpanie mieli być gorszymi od swoich sąsiadów z za Pyrenejów; było to więc w duchu epoki. Ale oczywiście wytłumaczenie rzeczy nie obala samego faktu a ten zaszczytu dziejom ni narodom nie przysparza.

żałobą naród cały; niezależnie od partyi politycznych wszyscy odczuli i uznali, że ubył największy mąż Hiszpanii, a na uroczystościach ku uczczeniu jego pamięci podnoszono zgodnie to wielkie znaczenie jego dzieł dla ożywienia ducha narodowego, podniesienia godności narodowej. Król na wiadomość o śmierci Menendeza wyraża swój głęboki ból z powodu straty męża, który „w tak wysokim stopniu podniósł i uczcił ojczyznę“. Jeden z dzienników republikańskich powiada, że śmierć tego uczonego to „postój w rozwoju naszej kultury“ a znakomity pisarz Perez Galdós, przeciwnik Menendeza na polu religijnem i politycznem, nazywa go „pierwszą chwałą Hiszpanii“, a zgon jego „żałobą narodową“. „A gdybym chciał — wyraża się jeden z mowców — powiedzieć krótko, co znaczy ta manifestacya (hołdu dla zmarłego), to powiedziałbym do Menendeza Pelaya: Znaczy to, że ty jesteś ojczyzną, tyś ją wcielił, jak nikt na świecie!“ [1]). (C. d. n.).

M. Paciorkiewicz.

Egzorta o samobójstwie.

(Dla uczniów wyższych klas gimn.).

Była to niedziela wielkanocna. Pieśń Zmartwychwstania rozbrzmiewała nie tylko w murach kościelnych: całą przyrodę budziło do życia tchnienie wiosny. Nawet na cmentarzu, na grobach zieleniła się trawa, a krzyże na nich zdawały się przemawiać do ludzi odwiedzających mogiły swych drogich, słowami Ewangelii: Resurget frater tuus!

Na tle zmartwychwstającego mocą jakąś wielką i niepowstrzymaną życia przykry obraz przedstawiał widok orszaku pogrzebowego, zmierzającego ku bramom miasta umarłych. Trumna spoczywająca na ramionach studentów w mundurkach, liczna ich rzesza i boleść, malująca się na twarzach młodych, kazały wnosić, że ubył im ktoś bardzo drogi. Rozmawiali o koledze, który własną ręką położył kres wiele obiecującemu życiu. Ponieważ stało się to wśród okoliczności, nie wykluczających nieszczęśliwego wy-

---

[1]) Mowca najwidoczniej nie znał literatury polskiej i Mickiewicza: „ja i ojczyzna to jedno“.

padku z powodu nieostrożnego obchodzenia się z bronią, ksiądz prowadził pogrzeb.

Skończyły się modły żałobne, a nad otwartą mogiłą stanął kolega zmarłego. Serdecznemi słowy żegnał przyjaciela, bolał, że odszedł tak rychło w kraj daleki, że tyle nie ziszczonych nadziei z nim razem w ciemnej pogrąży się ziemi. Wtem, jak zgrzyt przeraźliwy, mącący ciszę cmentarną, padły z ust mowcy słowa:

„Uwielbiamy czyn twój ostatni, którym stargałeś pasmo życia twego, chociaż pozostanie to dla nas na zawsze zagadką, czy był on wynikiem młodzieńczej nieostrożności, czy też kierowała ręką twoją rozwaga dojrzałego męża"[1]).

Skończył; na trumnę zaczęły padać grudki ziemi, a równocześnie niby protest przeciw ostatnim słowom młodego zapaleńca rozległ się dźwięk dzwonów kościelnych, wzywających wiernych na nieszpory Święta Zmartwychwstania.

Śpij spokojnie, bracie mój! Niech darń zieleni się na mogile twojej! Niech Bóg w nieskończonem miłosierdziu swojem oceni życie i śmierć twoją i da ci odpoczynek wieczny. Ty sam widzisz wszystko w świetle wieczności. Pytania i wątpliwości życiowe nie istnieją dla ciebie. Ale czyn twój i tych, co w podobny sposób zeszli ze świata — on pozostał w pamięci żywych, a pomiędzy nimi niejeden ma to przekonanie, że targnięcie się na własne życie, że samobójstwo może być objawem, czy nawet dowodem dojrzałości męża.

O dojrzałości męża chcę dziś do was mówić, drodzy moi. Dojrzałości tej domaga się od was życie wasze, ojczyzna, Bóg! Do niej macie wszyscy obowiązek dążyć, dojrzałymi mężami wszyscy się stać. Od tego, jak sobie człowiek tę dojrzałość wyobraża, zależy tak wiele w życiu jego i cała wieczność może!

Dojrzałość męża to rozkwit, to stopień najwyższy rozwoju sił i zasobów życiowych, to rozwój nie tylko cielesny, to rozwój duchowy, rozumu, woli, uczucia.

Dojrzałość męża to moc i odporność wobec wszystkich czynników zewnątrz i wewnątrz człowieka, które temu rozwojowi na przeszkodzie stają. To nieustraszoność i nieugiętość wobec zrządzeń losu, to panowanie nad niższą naturą, nad zmysłowoscią i namiętnościami swemi.

Dojrzałość męża — to zapomnienie o sobie, to zdolność do poświęcenia się dla drugich, to przekonanie, że „człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy, ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi" (Mickiewicz), to poczucie obowiązku i spokój ze spełnienia tegoż wynikający.

---

[1]) Zdarzenie prawdziwe.

Dojrzałość męża, chrześcijanina, katolika — bo o nim mówię — to patrzenie na wszystko „suk specie aeternitatis“ — pod kątem wieczności. To przeświadczenie, że życie i czyn ludzki sięga po za grobowy kamień, że żaden trud ni ból człowieka, byle zgodny z wolą Bożą, na marne nie pójdzie, że wszystko kiedyś odda Pan „w zmartwychpowstaniu sprawiedliwych“ (św. Augustyn) że człowiek na ziemi odbywa czas służby i próby jako „robotnik Pana“ (Słowacki) i „parobek Boży“ (Orzeszkowa).

Kto tak pojmuje dojrzałość męża, ten musi być nieubłaganym w osądzeniu samobójstwa. Nie wynika z tego, by kamieniem potępienia godził w samobójcę samego. Przeciwnie będzie raczej czuł litość wielką i sąd wszelki pozostawi Bogu. Lecz samobójstwo jako takie osądzić i potępić, człowiek nie tylko może, ale powinien, podobnie jak każdą inną zbrodnię.

Gdzież mamy szukać źródeł tego kroku rozpaczliwego? Nie w mocy, nie w sile życiowej, nie „w dojrzałości męskiej“ — napewno nie! A więc gdzie? [1]).

W pewnej ilości wypadków powodem jest choroba umysłowa, zaburzenie umysłowe chwilowe czy dłuższe, słowem obłąkanie. Samobójstwo tych ludzi nie podlega ocenie moralnej, tak samo jak inne czyny osób umysłowo chorych, obłąkanych.

Drugiem nader częstem źródłem samobójstw jest brak powodzenia, zawody życiowe, niespełnione nadzieje. Niektórzy domagają się od życia koniecznie ziszczenia wszystkich życzeń, wszelkich zachcianek. Wmawiają w siebie, że mają prawo do tego. Z chwilą kiedy kaprysy ich nie zostaną zaspokojone, tracą energię życiową, nie mają sił do borykania się z losem i rzucają się do ucieczki. Podobni są do tych, co wyczekują, żeby na loteryi ich numer wyszedł, miasto pracować i walczyć o kawałek chleba, — lub do zwierząt w menażeryi, co z wystawionemi przez kraty paszczami wyczekują widzów, by im ochłap jakiś rzucili. A życie nie jest ani loteryą, ani menażeryą, ale czasem danym przez Boga, by się duchowo wyrobić i zmężnieć, by dojrzeć dla wieczności. „Bojowanie jest żywot człowieczy“ (Job VII, 1), a kto się od niego bezwzględnie szczęścia spodziewa lub nawet domaga, ten skończyć musi albo w domu waryatów, albo samobójstwem, jeżeli nieszczęście zapuka do wrót duszy jego. Ale w takim razie niech się nie usprawiedliwia przed sobą, niech się nie obleka w szatę tragizmu, niech wyzna, że jest tchórzem, co lęka się w oczy spojrzeć losowi‘ że jest dezerterem, co sztandar walki i pracy opuszcza.

Każda głębsza filozofia, a tem bardziej religia nie zna dość ostrych słów na potępienie samobójstwa. Jest to fakt znamienny,

---

[1]) Cf. Fr. W. Förster, Lebensführung wyd. 2. 1912. pg. 10—12.

że utrata wiary poprzedza zazwyczaj targnięcie się na własne życie. I nie może być inaczej; prawdziwie wierzący nigdy do tego nie posunie się kroku. I on nie jedno w życiu przecierpi i przeboli, ale albo z Pascalem będzie uznawał, że cierpienie jest właściwym stanem chrześcijanina, wyznawcy nauki Chrystusa, co cierpiał i umarł na krzyżu, albo, jak powiada św. Katarzyna ze Syeny, szczęście i nieszczęście będzie dla niego tylko prawą i lewą ręką; człowiek posługuje się obiema.

Nakoniec są tacy, których do tego czynu popycha coś w rodzaju chęci ekspiacyi, pokuty: „Na życie moje i plunąć nie warto“ — mówi niejeden z nich — „zmarnowałem zdolności swoje, zniszczyłem zdrowie, skrzywdziłem drugich... Po co zawadzać na tym świecie? — Skończę.....“ Nie! Nie skończysz mój drogi, jeżeli popełnisz samobójstwo, ale rozpoczniesz nowy łańcuch zbrodni. W podobnych do ciebie postępek twój wpoi przekonanie, że tak łatwo likwidować można rachunki życiowe i uczyni ich tylko bardziej lekkomyślnymi i nieopatrznymi. Krzywdy, któreś wyrządził ludziom, zostaną bez naprawy, rany, zadane bliźnim, nie zagojone! Podobnym będziesz do defraudanta, co miasto szkody wyrządzone naprawić — ucieka! Uznajesz naprawdę grzechy i winy swoje, widzisz ich ogrom i hańbę — zostań, żyj dalej, ale dobądź ze siebie ostatek sił, by je naprawić i odpokutować! Wielkiem jest przewinienie twoje, grzechy przewyższyły głowę twoją, ale możesz stać się większym od winy twojej, przez boleść i żal i pokutę, przez pracę i cierpienie aż do ostatniego tchu.

W powieści p. t. „Australczyk“ przedstawia E. Orzeszkowa młodego człowieka, który wskutek nieszczęścia i z powodu własnej winy chce odebrać sobie życie. Od spełnienia tej haniebnej zbrodni ratuje go przybycie przyjaciela, co dłoń pomocną wyciąga ku niemu, wlewa odwagę i wskazuje nowe życie — drogę do odrodzenia duchowego. Upadłszy na kolana, modli się Stefan Damowski wraz z niedoszłym samobójcą:

„Żem prawu Twojemu, Stwórco, służyć nie chciał, przebacz! W planie Twoim olbrzymim i dla naszych zmysłów zakrytym rzuciłeś wielką linię cierpienia. Nie wiemy, czem jest i do czego dąży, ale że odwróciłem od niej serce i siły swoje — przebacz!“

I wyraźnie czyni postanowienie na przyszłość:

„Szatana i pychy jego wyrzeknę się i ujmę w karby zmysły moje. Ręce zaprzęgnę do trudu, czoło okryję potem i cierpiąc z cierpiącymi — służyć będę przyjściu królestwa Twojego na ziemię!“

Miasto śmierci, nowe życie teraz się przed nim otwiera, miasto samobójstwa — zmartwychpowstanie!

Ale winienem wam jeszcze, moi drodzy, odpowiedź na pytanie, dlaczego poruszyłem ten temat tak bolesny, dlaczego wobec was, którym życie jeszcze się uśmiecha, dotknąłem tej sprawy tak — zda się — wam obcej i dalekiej?

A przecież i w waszem otoczeniu może nie bezpośredniem, ale zawsze wśród młodzieży naszej zgrzyt samobójstwa szarpnie czasem duszę i wstrząśnie nerwami. Nieraz złe świadectwo sposobnością do takiego kroku, który w ostatnich czasach coraz częściej się zdarza. I w takich wypadkach tak zwana opinia publiczna zwraca się zwykle przeciw szkole, nauczycielom i nie wiedzieć czemu, a tak mało zastanawia się nad tem, czy źródła nie leżą gdzie indziej — w braku charakteru i podstaw życiowych: wiary i życia z wiary.

Bo samobójstwo — po za umysłową chorobą — nie jest faktem, oderwanym od całości życia, ale następstwem całego szeregu czynów, ostatniem w wielkim łańcuchu ogniwem. A łańcuch ten poczyna się w młodości człowieka i w niej siejemy ziarno życia i śmierci, upadku i zmartwychwstania, zachcianek i kaprysów i bezwoli posuniętych aż do samobójstwa nieraz, albo też kowamy obręcz pracy i hartu i mocy i wiary — co żywot nawet po za grobem widzi!

Dlatego ilekroć słyszymy o wypadkach samobójstwa, nie zapominajmy o tem, że Bóg sam włożył w ręce nasze życie i śmierć. I prośmy gorąco Pana zastępów, co Bogiem jest nie umarłych ale żywych (Mat. 22, 32) o siły do walki z tem, co do samobójstwa wiedzie, z grzechem, lenistwem, zmysłowością. Niech On, co ręce nasze zaprawia do boju, użyczy nam sił do służenia Mu bez szemrania i ofiarnie w tem życiu i wskrzesi nas kiedyś na żywot wieczny! Amen. *X. C.*

O rycerskości względem dziewczęcia.*)

(*Katecheza dla chłopców starszych*).

Sprawa, o której chcę z wami mówić, jest bardzo poważną. Istnieje ulotne pisemko, które tak chętnie chciałbym każdemu z was dać do rąk, żeby każdy je czytał w chwili pokusy: Broszurka ta: nosi tytuł: „Szanuj każdą dziewczynę jak własną siostrę“. Przy końcu zwraca się autor z gorącą prośbą do czytelnika. „Szanuj każde dziewczę, nie czyń mu nigdy nic złego“

---

*) Obacz X. J. Bielawski: Przygotowanie do spowiedzi i Komunii św. Podajemy tu wolny przekład jednej z katechez X. Schwab'a, przeznaczonych dla szkół uzupełniających a ocenionych na str 521—525 Mies. Kat. i Wych. z r. 1912.

Nie jesteście już dziećmi, — sądzę, że wiecie, co mam na myśli.

1. Wielki poemat średniowieczny opiewa waleczne czyny bohaterskiego Parziwala. Jak tylko otrzymał pasowanie na rycerza, wyrusza w świat, by wypróbować swą sprawność w rycerskiem rzemiośle. Pewnego razu zbłądziwszy w gęstym lesie, zoczył ze szczytu wysokiej góry, leżące w dali sławne miasto Pelrapere. Spiął konia i pojechał w tym kierunku. Gdy zakołatał do bramy, zapytano go, kim jest? Czy wróg, czy przyjaciel? — Na to Parziwal odpowiedział, że gotów służyć, jak najlepiej potrafi — a zasługą i żołdem będzie mu pochwała ze strony pań. Z radością przyjęli go do miasta i zaraz zaprowadzili go do królowej, która się nazywała Kondwiramur.

Królowa jest w przykrem położeniu. Nieprzyjaciel napada granice jej państwa. Król Chlamide gospodarzy sobie po barbarzyńsku w jej kraju. Stolicę pozbawił dowozu żywności. — Rycerze, broniący stolicy, wycieńczeni z trudów, — niepewność jutra. Trupia bladość okryła ich twarze.

Podnieca to rycerski umysł walecznego Parziwala. — „Za wszystko, co Chlamide podstępnego uknuł“, rzecze on, „za wszystko złe, co Kingraun wyrządził ludziom tej ziemi, zemszczę się, — tak mi Boże dopomóż! Niech łotr ten nędznie zginie!“ I nazajutrz wyrusza do walki.

Cała potęga nieprzyjacielska, jak wzburzone morze, przewala się po równinie, otaczającej miasto Pelrapere. Szturm był gwałtowny. — Rycerze dzielnie odpierają szturm za szturmem. Kingraun walczy na czele wojska nieprzyjacielskiego. — Widząc swe roty cofające się bezładnie, wpada w wściekły gniew. Żąda, by bramy miasta otworzono. — I... o dziwo! Parziwal każe je otworzyć. — I sam jeden jak huragan wpada na nieprzyjacielskie wojsko — oszczepy i miecze pryskają i łamią się o stalowy pancerz walecznego Parziwala. Obydwaj wodzowie, Parziwal i podstępny Kingraun, zwarli się w śmiertelnym pojedynku — z którego Parziwal wychodzi zwycięzcą — a Kingraun leży bez przytomności na ziemi.

Tymczasem zebrało się znowu wojsko nieprzyjacielskie — dowodzi sam król Chlamide — szturm był straszny — lecz Pelrapere broni się męstwem rozpaczy.

Szturm odparto zwycięsko — tysiące wojska nieprzyjacielskiego zaściela równinę w koło miasta. Walkę ma rozstrzygnąć pojedynek Parziwala z Chlamidem. Zbroje ich lśnią się w słońcu — miecze błyskają w powietrzu — kto zwycięży, otrzyma rękę królowej Kondwiramur.

Straszliwy bój zaczęto — walczą jak dwa rozszalałe żywioły. — Jeden straszliwy cios Parziwala — Chlamide, rażony piorunem jego miecza, pada bez zmysłów — tarzając się w piasku.

Parziwal zdziera mu hełm z głowy. — „Teraz dowiedz się, rzecze doń, co to znaczy w sposób zbrodniczy dobijać się ręki kobiety. — Występek twój tylko śmiercią możesz okupić“! Byłoby jednakże nieszlachetnie — wbrew zwyczajom rycerskim zwyciężonego dobijać. Więc Chlamide zostaje przy życiu — lecz skazany na wieczne wygnanie... Parziwal obchodzi z królewskim przepychem swój ślub z królową Kondwiramur...

2. Kochani moi! Piękna i szlachetna była instytucya rycerstwa średniowiecznego. Kto otrzymał pasowanie na rycerza, ten uroczyście przyrzekł bronić słabszego, szanować kobietę i walczyć w obronie jej czci. Lecz dzisiejsza młodzież — jakże się różni od tych rycerzy! Mamy teraz książki, których spokojnie czytać nie można. Z okropnym cynizmem mówi się o najwznioślejszych rzeczach. Przysłuchując się tak czasem rozmowom naszej młodzieży, omal że się nie uwierzy, że nasze szlachetne dziewczęta są na to jedynie, by za cel służyły brudnym żartom i cynicznym piosenkom. Każde szlachetniejsze serce zaboleje na widok młodzieży, która zaledwie opuściwszy ławę szkolną, chodzi do domów publicznych, gdzie urąga się ostatnim strzępom honoru upadłej dziewczyny. A co gorsza — nędznik taki niekiedy przechwala się z tego przed kolegami — dokonał bohaterstwa. — Zaiste czyn godny takiego bohatera!

3. Młodzieniec niezadługo zapomni swego postępku. — Lecz dziewczyna, wobec której dopuścił się hańbiącego uczynku? — — Czyście pomyśleli, jak ona marnie skończy?...

Znałem jedną taką nieszczęśliwą, byłem katechetą w szkole, do której wówczas chodziła.

Wesoła, zawsze uśmiechnięta — dowcipna, przytem głęboko i serdecznie pobożna. Przykład jej oddziaływał dodatnio na koleżanki. — Była radością rodziców. Lecz gdy opuściła szkolną ławę, wnet się to strasznie zmieniło!...

Posłuchajcie, co się stało!...

Pewien inteligentny młody człowiek wstąpił w charakterze pomocnika do interesu jej ojca.

Chytrze — obłudnem postępowaniem potrafił zyskać jej miłość — i w nieszczęsnej godzinie zabrał jej cześć i niewinność. A potem, jak przyszedł, tak i poszedł.

Mrowie mnie przeszło, gdym ją później zobaczył. Jakaż okropna zmiana! Wesoła jak niegdyś — lecz jakaż straszna różnica! — W całej okolicy tylko o niej mówiono. Gdzie ona była — tam zbierała się młodzież zepsuta, jak sępy wkoło padliny. — Zeszła do rzędu prostytutek!

Może nie jedną gorżką łzę uroniła w cichej skrusze, kryjąc się ze wstydu przed ludzkiem okiem.

Lecz z czasem przyzwyczaiła się do złej sławy, która ją otaczała i starając się stłumić wyrzuty sumienia — ostatni strzęp godności własnej utraciła!

A uwodziciel?... Nie słyszałem o nim nic. Przepadł bez wieści. Może gdzieś przy warsztacie, przechwalał się przed towarzyszami tym łajdackim czynem. A oni? — — — Śmieją się na całe gardło, wznosząc wiwatne okrzyki na jego cześć...

Gdyby znalazł się jaki rycerski obrońca, któryby się ujął za czcią tej nieszczęśliwej ofiary, rzuciłby mu w twarz te grzmiące słowa: „Nędzniku — zdeptałeś życie tej dziewczynie!“

4. Starożytna Grecya przekazała nam podanie o pewnym uwodzicielu nazwiskiem Egist. Pozbawił on czci małżonkę króla Agamemnona. Po wielu latach tułaczki powraca syn zbezczeszczonej do pałacu ojcowskiego i pchnięciem sztyletu pozbawia życia Egista.

Pomyślcie, gdyby niegodziwiec jakiś chciał wyrządzić krzywdę waszej siostrze! — Gdyby dla chwili podłej rozkoszy chciał zwichnąć jej życie całe! Nikczemnikami bez wstydu bylibyście, gdybyście na to pozwolili.

Kochacie swą matkę! Gdyby się znalazł taki, któryby ją chciał skrzywdzić, nazwałbym was wyrodkami, gdybyście przeciw całemu światu nie zaprotestowali!

5. Bardzo to bohatersko wygląda, gdy jakiś nędznik przechwala się swym podłym czynem!

Dziewczyna wobec bezczelnego natręctwa ze strony mężczyzny jest nieraz bezbronną. Nie podejrzywając zdrady i podstępu, ufa ona zbyt często i wierzy złudnym słowom. Wielka jest kobieta w miłości ku swemu mężowi — w miłości ku dzieciom. Kobieta niedościgłą jest w pielęgnowaniu ubogich i chorych. Lecz jest bezbronną wobec uwodziciela, który ją oszukuje kłamliwemi obietnicami — uwodzi i... podle porzuca.

Młodzieńcy! Bądźcie jak owi rycerze średniowieczni wobec każdej dziewczyny. Ktoby śmiał w waszej obecności źle wyrażać się o dziewczynie lub co gorsza, chciał ją skrzywdzić — ten nie powinien być waszym przyjacielem — powinniście go z daleka omijać. Gwoli matek waszych — gwoli sióstr waszych trzymajcie się zawsze tej zasady, by wobec dziewczyny nie postąpić sobie w sposób nikczemny!

6. Czytałem niegdyś o zdarzeniu, które na tem miejscu doskonale nadaje się jako przykład.

Pewien młodzieniec walczył z ciężką pokusą — chciał on skrzywdzić dziewczę. — Lecz w tem przypomina sobie wypadek, którego był naocznym świadkiem, a który niezatarte na nim wywarł wrażenie.

Było to nad jeziorem genewskiem — niedaleko Lozanny. W wspaniałym parku hotelu, oświetlonym rzęsiście wielkiemi łukowemi lampami elektrycznemi, grała cudnie jakaś włoska kapela. Ostatnie pociągi kolei linowej przywiozły licznych gości. Wybrzeże ożywiało się. Kolacyę w hotelu kończono. — Coraz bliżej przewalały się tłumy gości w stronę głównej bramy ogrodu hotelowego. Odzywały się czarujące tony muzyki.

Niespostrzeżenie wynurza się z cieni parku, z części ogrodu słabo oświetlonej, jakaś czarna postać kobiety. Jak cień przesunęła się ścieżką. Zdąża ku wybrzeżu jeziora. Tuż nad btzegiem stoi wierzba płacząca, której liście zwisają nad wodą. Dno jeziora już o kilka metrów gwałtownie opada. Martwe ciałko dziecięcia przyciskając do piersi, rzuca się nieznajoma w głębiny jeziora. — Przytłumiony bulkot wody zagłusza grzmiąca fanfara. Jeszcze raz wynurza się czarna postać z głębi, by zniknąć na zawsze. — Jezioro pochłonęło swą ofiarę.

To było straszne upomnienie dla owego młodzieńca i w walce z pokusą — uchroniło go od upadku.

Niech to i dla was będzie przestrogą — mogłaby ona niejednego powstrzymać od złego czynu, gdyby chciał o niej pamiętać. Więc szanuj, drogi bracie, każdą dziewczynę, jak własną siostrę — nie uczyń żadnej dziewczynie nic złego. Niech cię pamięć matki twej od tego broni!

Zapiszcie sobie: **Rycerskość wobec dziewczyny uważaj za najpiękniejszy obowiązek swego honoru. Tylko niegodziwiec postępuje podle wobec dziewczęcia.**

Nowe książki.

X. Dr. Andrzej Macko. **„Młodzieńcze wstań“.** Konferencye wielkopostne. Główny skład w księgarni Z. Jelenia. Tarnów 1913. Stron 79. Cena 1 kor.

Prawdziwą wdzięczność powinien mieć każdy katecheta szkół średnich dla X. Dra Macki, profesora teologii w Tarnowie, za ogłoszenie drukiem powyższych konferencyi, wygłoszonych do uczniów wyższego gimnazyum w r. 1912. W sześciu naukach (p. n. Poznaj siebie. Poznaj Chrystusa. Chowaj przykazania. Czyń pokutę. Dobrze się spowiadaj. Czuwaj i módl się) kreśli Autor dokładny obraz życia studenckiego w szkole i po za szkołą, a nadto

z wielką znajomością duszy młodocianej umie z nurtujących w dzisiejszem społeczeństwio prądów wybrać te, które na nią najbardziej oddziaływają. To szczęśliwe, równomierne połączenie czynnika apologetycznego z moralnym nadaje szczególniejszą wartość niniejszemu dziełku. Konferencye te muszą głębokie na uczniu zrobić wrażenie. Umysł jego przekonają naukowe, a przystępnie podane dowody filozoficzne i liczne cytaty powag, wyobraźnię porwie styl obrazowy i język bardzo piękny, serce pociągnie prawdziwa pobożność, tchnąca z każdej stronicy. Dziełko powyższe winno się znaleźć nie tylko w ręku każdego katechety, ale także w ręku jak największej liczby młodzieży starszej, której zwłaszcza w czasie ćwiczeń duchownych może służyć obok kierującego rekolekcyami za znakomitego pomocnika.

X. Dr. J. Wiślicki.

X. Józef Makłowicz. Przykłady ojczyste do nauki katechizmu. Tom IV. Lwów 1912. Stron 375. Cena 4 kor.

Pierwsze trzy tomy tego dzieła poleciliśmy w roczniku II naszego Miesięcznika na str. 163—165. Świeżo wydany tom czwarty dorównywa poprzednim wartością. Zawiera on 546 przykładów i cytatów do nauki o przykazaniach (I—V). Szan. Wydawca trzyma się nadal swojego programu, — o tyle tylko odstąpił od niego w t. IV. że dodał do zebranych przykładów (na str. 272—279) „próbę kazania o refleksyi, które tak ułożył, by się dało zastosować na którekolwiek święto N. Maryi P.“ Oczekujemy z niecierpliwością wydania tomu piątego i ostatniego, do którego będzie dodany indeks, ułatwiający korzystanie z całego zbioru. *X. P.*

Luther. Von Hartmann Grisar S. J., Professor an der Universität Insbruck. Erste und zweite Auflage. Drei Bände. Lex. 8⁰. M 45·—; opr. M 50·— i M 52·50.

I. Band: **Luthers Werden. Grundlegung der Spaltung bis 1530.** (XLVI i 656 str.) M 12·—; opr. M 13·60 i M 14·40.

II. Band: **Auf der Höhe des Lebens.** (XVIII i 820 str.) M 14·40; opr. M 16·— i M 16·80.

III. Band: **Am Ende der Bahn. Rückblicke.** (XVIII i 1108 str.) M 18·60; opr. M 20·40 i M 21·30. Freiburg im Br. Herder.

(Można także cenę spłacić w ratach miesięcznych po 3 M).

Jakkolwiek o Lutrze pisano już bardzo wiele, a zwłaszcza w Niemczech, to przecież według zdania ogólnego historyków, nie mieliśmy dotąd zadowalającej pod każdym względem jego biografii. Dziś mamy już dzieło, które lukę tę zapełnia, które zapoznaje nas jak najdokładniej (o ile to umożliwiały znane dotąd źródła) z całym rozwojem duchowym „reformatora“. To też nie tylko katolicy, ale i wielu protestantów oddaje X. Grisarowi naj-

większe a zasłużone pochwały. I tak podnosi np. E. Pfenningsdorf („Der Geisteskampf der Gegenwart“, Gütersloh 1911, zeszyt 7y, str. 263) jego „spokojne, beznamiętne traktowanie przedmiotu, rozległą znajomość dotyczącej literatury i katolickiej i protestanckiej, gruntowne studyum źródeł, jego przedmiotowość“ itd. „Krytyka protestancka“ — piszą „Leipziger Neueste Nachrichten“ z r. 1911, Nr. 223 — „wysławia szlachetny spokój dzieła... Autor usiłuje, bez uszczerbku dla uczucia katolickiego, oddać Lutrowi sprawiedliwość“. — „Miłe wrażenie czyni rzeczowość („Sachlichkeit“) tonu, obrona Lutra przeciw niejednemu wstrętnemu zarzutowi polemistów katolickich, śmiała otwartość, z jaką wyraża się autor o kościelnych niedomaganiach epoki“ („Literarisches Zentralblatt“, Lipsk 1911, Nr. 30). „Tradycyjnej, przestarzałej polemiki, która w kacerzu widzi tylko złego człowieka, szukałoby się tu daremnie“ (Jakób Beyhl w „Freie Bayerische Schulzeitung“ Würzburg 1911, Nr. 6). „Dowiadujemy się tu po prostu wszystkiego, co umiejętna historyografia katolicka i co ewangelicka krytyka mogą powiedzieć o Lutrze i jemu współczesnych“ (Ulmer „Lit. Mitteilungen“ Schwabach 1912, Nr. 1). Podobnych zdań można jeszcze wiele znaleźć w piśmiennictwie protestanckiem (por. broszurkę: „Luther von H. Grisar S. J. Urteile von protestantischer Seite“. Freiburg i. Br. Herder. 1912).

Rzecz naturalna, że nie wszyscy zwolennicy i wielbiciele Lutra oceniają równie pochlebnie dzieło X. Grisara, że inni czynią mu ciężkie zarzuty, żeby obniżyć jego znaczenie w oczach czytelników. I tak przyznaje mu wprawdzie Harnack („Theol. Literatur-Zeitung“ 1911, Nr. 10) w niejednym punkcie słuszność, jak np. w tym, że Luter „źle zrozumiał św. Augustyna, naukę Kościoła, Taulera i Occama“, że „brakowało mu rozwagi naukowej i uzdolnienia logicznego“ itd., ale to nie ma umniejszać wielkiej zasługi Lutra, że uwolnił chrześcijaństwo od autorytetu Rzymu a przywrócił mu samą „istotę religii“. Co więcej, sławny teolog racyonalista twierdzi, że tylko „niższa krytyka“ może u Grisara zadowolić, ale ze stanowiska „krytyki wyższej“ trzeba jego książkę osądzić ujemnie. Kto bowiem umie krytykę „wyższą“ dobrze uprawiać, ten według Harnacka musi nam Lutra przedstawić jako „bohatera, który chce siebie i braci swoich podnieść do Boga“ a do tego „biografii Grisara niestety bardzo daleko“. „Stanowisko bowiem, z którego katolik jest obowiązany spoglądać na tę powszechno-dziejową osobistość, jest chybione“. I historyk katolicki powinien według Harnacka przyznać, że „teorya dogmatyczna Kościoła katolickiego zawiera w sobie zarodki złej praktyki, którą Luter zaczął zwalczać“, — a nadto, że Luter miał zupełną słuszność za sobą, kiedy pokazał chrześcijaństwu, jak „ma się uwolnić od jarzma imperatora rzymskiego, który mianuje się za-

stępcą Chrystusa i od magii sakramentalnej". Dopiero wtenczas będzie historyk wolny od wszelkich uprzedzeń i może napisać dobrą historyę Lutra; — czyli innemi słowy: jeżeli katolik nie przejmie się poglądami protestanckimi, nie powinien pisać o Lutrze albo przynajmniej nie powinien się spodziewać uznania ze strony „krytyki wyższej"!

Nie jest też wcale zadowolony z książki Grisara Kawerau, który napisał całą broszurę o pierwszym jej tomie (p. n. „Luther in katholischer Beleuchtung". Leipzig. 1911). Według niego biograf Lutra nie powinien „być cenzorem ciągle kontrolującym i poniżającym zachowanie się wielkiego męża, ale ma wytłumaczyć, jak on mógł sprowadzić nową epokę nie tylko w dziejach teologii, ale i w dziejach pobożności i dlaczego niezliczone rzesze widzą w nim przewodnika do wiary pełnej ufności i zbawiciela chrześcijaństwa"!

(Dok. nast.).

X. A.

Varia.

„Rozumne" konie w Elberfeld.

Są to dziwne zwierzęta, które umieją dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć, wyciągać z liczb drugi a nawet trzeci pierwiastek, czego wielu gimnazyalistów nauczyć się nie może, jednem słowem, zwierzęta myślące i wyrażające swą myśl zapomocą „umówionego" tupania w ziemię i innych tego rodzaju znaków.

Kilku już uczonych wypowiedziało w prasie swoją opinię o tych koniach; zdania ich są bardzo różne:

„Jest to tylko ślepe i nieinteligentne posłuszeństwo dla pewnych znaków" twierdzi Oskar Pfüngst z uniwersyteckiego psychologicznego laboratoryum berlińskiego, który przez dłuższy czas „obcował" z koniem p. v. Osten, słynnym pod nazwiskiem „der kluge Hans". Potępiający ten wyrok podniecił tylko zapał niejakiego Kralla, z zawodu złotnika, zapalonego miłośnika koni; postanowił on zrehabilitować sławę „uczonego konia" i poświęcić się — kształceniu koni i udoskonaleniu dzieła, którego początkiem był „der kluge Hans" Ostena. Wykształcił naprzód dwa konie: Muhameda, który jest nadzwyczajnie uzdolniony, lecz trochę kapryśny i Zariffa, temperamentu bardziej spokojnego. Zeszłej wiosny w grubym tomie ogłosił wyniki swej dotychczasowej pracy. W tym samym czasie kupił czterech nowych „uczniów", a prócz tego zamierza podjąć się kształcenia konia zupełnie ślepego, co ma usunąć wszelkie podejrzenie o wykonywanie posłuszne znaków

przynajmniej optycznych. Skutkiem tego sprawa, zdawało się, definitywnie ukończona przez wyrok Pfüngsta, rozwija się dalej, budząc ożywioną dyskusyę. I tak prof. Edinger, wybitny neurologista z Frankfurtu, twierdzi, że w koniach Kralla „budzi się dusza zwierzęca“, podczas kiedy prof. Drexler, dyrektor instytutu weterynarskiego w Pradze czeskiej, autor poważnych prac, zwłaszcza zaś monografii o chorobach umysłowych zwierząt, stwierdza, iż książka Kralla jest „plamą na naszej literaturze współczesnej“, „pomnikiem, wystawionym głupocie...“.

Inny znowu autor, dr. v. Franz, w traktacie, który poświęca związkowi inteligencyi z anatomią centrów nerwowych, zapytuje, czy w sprawie koni elberfeldzkich istotnie obrano dobrą drogę, którąby można dojść do wykazania, iż zwierzęta mogą myśleć logicznie. Zasadniczą charakterystyką inteligencyi jest, według niego, zdolność uczenia się, a w rozprawie swojej udowadnia, że cały świat zwierzęcy tę zdolność posiada.

Profesor psychologii eksperymentalnej w Genewie, Ed. Claparède postanowił również zbadać konie z Elberfeldu i poświęcił im poważną pracę. Jest prawie przekonany, że zwierzęta te wykonują pewną pracę intelektualną. Pomimo że, co się tyczy konia p. v. Osten, książka Oskara Pfüngsta wywarła na niego wielkie wrażenie, nie przypuszcza, żeby teorya znaków i biernego posłuszeństwa dała się zastosować także i do zwierząt Kralla, ponieważ otrzymywał od nich odpowiedzi trafne, kiedy był z nimi w stajni sam na sam; prócz tego obserwuje się je przy świetle szklannej latarni, umieszczonej w drzwiach. Zarzuca tylko jedno. „Doświadczenia, robione w Elberfeld, są tak urządzone, że mogą przekonać tych, którzy biorą w nich udział i patrzą na nie własnemi oczami, nie są jednak zorganizowane i pomyślane tak ściśle, aby opis ich mógł trafić do przekonania tych, którzy ich nie widzieli“.

Nie trzeba przytem zapominać, co zresztą p. Ed. Claparède również wyznaje, że p. Doering, pedagog niemiecki, nawet w Elberfeld nie pozbył się jakiegoś podejrzenia: „Przedstawienie, jakie mi dały w Elberfeld konie Kralla, bynajmniej mnie nie przekonało, że mam przed sobą konie myślące“.

Za to znowu dr. Besredka, profesor przydzielony do instytutu Pasteur'a, wydał czworonogom Kralla następujące chwalebne świadectwo:

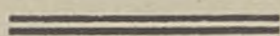
— Osłupiałem — oświadcza — na widok dokładności, z jaką konie Kralla odpowiadały na zadawane im pytania, nad któremi i niejeden człowiek musiałby się przez jakiś czas zastanowić. Nie ulega żadnej wątpliwości — że zwierzęta te rozumują i kalkulują“.

Przyznaje jednak, że Krall, który jest z zawodu złotnikiem, a przeto mało miał sposobności do zapoznania się ze ścisłemi metodami, wymaganemi przez wiedzę, nie mógł zgłębić tego problemu i dostarczyć potrzebnych doświadczeń. Gratuluje mu pomysłu założenia towarzystwa psychozoologicznego, ponieważ w ten sposób zajmą się tym problemem uczeni biegli w eksperymentacyi, którzy w myśl przepisów nauki rozszerzą doświadczenia czynione w Elberfeld.

„Miejmy nadzieję — kończy swój artykuł referent Temps'a — że prace tego towarzystwa doprowadzą do odkrycia, przez które człowiek stanie się większym, albowiem niczem innem nie jest podnoszenie niższych od siebie do swego poziomu. Jeżeli zaś człowiek w duszy końskiej nie znajduje nic, czegoby tam sam nie włożył, spodziewamy się, że będą to tylko rzeczy dobre, które z myślącego konia zrobią najszlachetniejszą zdobycz człowieka“.

Kto jednak zastanawiał się głębiej nad istotą rozumu, a w szczególności nad tem, czego potrzeba do wyuczenia się matematyki, będzie z góry przekonany, że opowiadania o tych koniach nie mogą zgadzać się z prawdą. Tak zw. ,,inteligencya“ zwierząt różni się bardzo od rozumu ludzkiego, którego istotę stanowi zdolność tworzenia pojęć i poznawania prawd ogólnych. Żeby nauczyć się najłatwiejszych rachunków, żeby np. zrozumieć, że $2+2=4$, trzeba mieć pojęcia najpierw liczby w ogóle a dalej dwójki i czwórki, nic zaś z tego wszystkiego, co wiemy o zwierzętach, nie uprawnia do przypuszczenia, że one mogą sobie pojęcia te utworzyć. Odpowiedzi więc owych koni muszą być wywoływane za pomocą tresury, której sekretu dotąd nie zbadano.

N.



Walne zgromadzenie Związku Katechetów

odbyło się dnia 15. lutego r. b. według ogłoszonego (w zeszycie z tego miesiąca) programu w lokalu Związku (Plac Kapitulny 7). Udział członków był stosunkowo dość liczny, przybyło także 5 księży zamiejscowych (między tymi jeden z Tarnowa, dwóch z Przemyśla).

Prezes Związku X. Dr. Pechnik powitał zebranych i wypowiedział kilka zdań o dotychczasowym rozwoju Związku: Nadzieje, które żywili jego założyciele, ziściły się dotychczas w małej tylko mierze. Sądziliśmy, że przystąpią zaraz do niego z największą ochotą wszyscy katecheci a nadto wielka część duchowieństwa parafialnego. Nie jest to bowiem stowarzyszenie, przeznaczone dla

samych katechetów „zawodowych", ale według statutu mogą do niego należeć jako członkowie czynni wszyscy wogóle księża obrz. łac. Jest to jedyne u nas stowarzyszenie kapłanów, którego celem jest w pierwszym rzędzie wzajemne kształcenie się i podnoszenie na duchu przez odczyty i dyskusye nietylko z dziedziny katechetyki i pedagogii, ale także z zakresu nauk teologicznych i innych. Nie pomija zresztą Związek i spraw materyalnych, dotyczących także duchowieństwa parafialnego i tak stara się np. usilnie o lepsze wynagradzanie nauki religii w szkołach miejskich i wiejskich a nadto jego członkowie mogą otrzymywać zapomogi w razie potrzeby na koszta kuracyi (por. § 2. statutu). Dotąd jednak ilość członków a więc i dochody Związku są zbyt małe, żeby mógł rozwinąć jakąś działalność na większą skalę.

Niewielu jeszcze (stosunkowo) kapłanów naszych bierze udział w pracy naszej. Prawda, że znaczna a nawet przeważna część XX. Katechetów może wymawiać się brakiem czasu. Zapewne, jeżeli ktoś ma do 30 godzin tygodniowo w szkole swojej a nadto jest kierownikiem bursy, dyrektorem prywatnego seminaryum nauczycielskiego żeńskiego itd., temu trudno znaleźć czas na posiedzenia Koła, na kształcenie się dalsze, na odczyty i t. p., — ale są przecież i dni wolne od szkoły, są święta ob. łac. i gr., a więc udział od czasu do czasu przynajmniej w posiedzeniach Kół nie należy przy dobrej woli do rzeczy niemożliwych.

Są jednak pewne oznaki, że budzi się i u nas większy ruch umysłowy, żywsze zajęcie się naszemi sprawami: Koło krakowskie postanowiło urządzić w październiku r. b. kurs katechetyczny pod protektoratem Najprz. Księcia Biskupa Dra Sapiehy, który raczył łaskawie udzielić Związkowi naszemu swego poparcia; — Koła dyec. przemyskiej są bardzo czynne, to samo można powiedzieć i o Kole lwowskiem. A dalej wszyscy prawie katecheci w Galicyi i wielu stosunkowo XX. proboszczów i wikarych prenumeruje organ Związku: „Miesięcznik Kat. i Wych.", — rośnie też liczba jego współpracowników; — można też mieć nadzieję, że pismo to przyczyni się z czasem znacznie do rozwoju Związku.

„Ale jakkolwiek stosunki się ułożą, z jakiemikolwiek będziemy jeszcze musieli walczyć trudnościami, nie traćmy otuchy! Pracujmy z energią i zapałem dla chwały Bożej, dla dobra młodzieży — a da Bóg, będziemy zbierali w przyszłości coraz piękniejsze pracy naszej owoce!"

Prezesem wybrano ponownie X. Dra Alexandra Pechnika, wiceprezesem X. Dra Adama Gerstmanna.

Do wydziału weszli jako członkowie: XX. Dobiecki Alfred, Dziurzyński Kazimierz, Janusiewicz Józef, Kosztyła Andrzej, Piwiński Jan, Dr. Szydelski Szczepan,

Dr. Szulz Bartłomiej. Jako zastępcy: XX. Bielawski Zygmunt, Csesnák Karol, Dr. Ratuszny Antoni, Sokołowski Mateusz. (Dok. nast.).

*

Dodajemy, że nowy wydział d. 19-go z. m. wybrał sekretarzem Związku (ponownie) X. Kazimierza Dziurzyńskiego (katechetę gimn. IV we Lwowie) a skarbnikiem X. Józefa Janusiewicza (Murarska 29).

Wkładka roczna wynosi tylko 2 kor. Można ją przesyłać na ręce skarbnika razem z wkładką do Tow. wz. pomocy Kapłanów albo razem z prenumeratą na „Gaz. Kościelną" i na „Mies. Kat. i Wych.".

Nominacye i wiadomości osobiste.

Przeznaczeni: na zastępcę katechety w II. szkole realnej w Krakowie X. Dr. Julian Gołąb; X. Dr. Józef Rychlicki na katechetę pomocniczego do V. gimnazyum.

Uwolnieni: X. Stanisław Makowski od obowiązków katechety pomocniczego w II. szkole realnej, a przeznaczony na katechetę pomocniczego do seminaryum męsk. w Krakowie; X. Dr. Michał Pęckowski od obowiązków katechety pomocniczego w V. gimnazyum.

Obowiązki zastępcy katechety w gimn. realnem w Wieliczce objął ponownie X. Dr. Tadeusz Kruszyński.

Urlop półroczny dla celów naukowych otrzymał X. Józef Boczar, kat. sem. naucz. męskiego we Lwowie; zastępstwo objęli XX. Romuald Tumpach i Nestor Szukalski.

Urlop 3 miesięczny otrzymał X. Zygmunt Schmuc, katecheta szkoły wydz. w Krośnie. Zastępcą jego zamianowany X. Stanisław Stępień wik. w Krośnie.

Zamianowani: X. Piotr Świerzko, wik. we Lwowie, zastępcą kat. w sem. naucz. żeń. tamże.

X. Antoni Kuczek T. J. Katechetą szk. 4 kl. m. im. Kościuszki w Kołomyi.
